ISSN 1425-3496

12,90 zł

ISSN 1425-3496 nr rejestru prasowego 157/MS-rej. pr. 44/94

DIALOG bheniben

2015 nr 18

kwartalnik romski

ROMSKIE INSPIRACJE Majonez i ser w czasie pieczenia rozpuszczają się, tworząc kremowy sos, co jest nieoczekiwaną gratką. Nietypowe zastosowanie majonezu i połączenie tego z „cygańskością" wydaje się bliskie idei cygańskiej wieczerzy na gwoździu, znanej z wiersza Fredry „Cygan i baba" **FOTOREPORTAŻ** „Panie, co to będzie teraz, dlaczego, co z nami będzie?" – ze strachem w głosie zapytała kobieta, a jej mąż ponuro milczał. Ta rodzina pamiętała jeszcze wojnę i prześladowania, głód i strach, które towarzyszyły im przez cały tamten czas. Urzędnik zapowiedział przyjazd milicji **KULTURA** Z plakatu wystawy spogląda na wiedeńczyków młoda dziewczyna – rozpuszczone włosy, ręce w kieszeniach, sztruksy, czarna kurtka, luźny sweterek, w tle charakterystyczny wiedeński tramwaj **SPOŁECZEŃSTWO** Półprawda to po prostu całe kłamstwo. Stereotyp zaś jest kwintesencją bredni. Tyle że – jak było w przypadku informacji o gwałcie popełnionym przez dwunastolatka na dworcu w Katowicach – nikt nikogo nie chciał tu napiętnować ze względu na narodowość **HISTORIA** Anonimowy informator doniósł sołtysowi o obecności Romów na skraju wsi, sołtys z kolei poinformował o tym miejscową jednostkę żandarmerii. Następnie żandarmi i policjanci wykonali egzekucję i rozkazali miejscowej ludności pogrzebać ciała.

WŚRÓD INNYCH Wojciech Burszta **Str. 12-15**

Cygański fix Agnieszka Kręglicka **Str. 34-35**

PRZESTRZEŃ WPISANA W CIAŁO

Monika Weychert-Waluszko **Str. 72-77**

O Romach. Encyklopedycznie, acz nieściśle

Sławomir Kapralski **Str. 96-101** **NO, CYGANY, KONIEC Z WAMI** Lech Mróz **Str. 44-69**

Cygański szyk Aleksandra Boćkowska **Str. 18-21**

Redaktor naczelna Joanna Talewicz-Kwiatkowska
Redaktor Paweł Smoleński
Sekretarz redakcji Małgorzata Kołaczek
Korekta Grażyna Kwiek
Koncepcja kwartalnika, projekt graficzny, fotoedycja i produkcja Dominique Roynette, Piotr Wójcik
Fundacja PICTURE DOC
Przygotowanie fotografii do druku Sylwester Zacheja
Promocja i dystrybucja Kinga Orzeł-Dereń
Finanse Renata Mucha
Drukarnia Colonel, Kraków

Wydawca Fundacja DIALOG-PHENIBEN
ul. Krakusa 8, pokój 107, parter
30-535 Kraków

Kontakt
www.dialogpheniben.pl
biuro@dialogpheniben.pl

Płatne ze środków finansowych Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Zadanie jest realizowane dzięki dotacji Ministra Administracji i Cyfryzacji

Znajdziesz nas w:
Biurze Fundacji DIALOG PHENIBEN,
Fundacji PICTURE DOC - Pracownia Duży Pokój,
ul. Warecka 4/6 w Warszawie
oraz Empikach.

Polub nas
na Facebooku:

Nr Indeksu ISSN: 1425-3496, nr rejestru prasowego: 157/MS - rej. pr. 44/94, nakład: 1000 egzemplarzy

DIALOG pheniben

kwartalnik romski

DIALOG pheniben

2015 nr 18

Romska Poczta. 2 Sierpnia 2015. Joanny Talewicz-Kwiatkowskiej .. **6-9**

ROMSKIE INSPIRACJE

Romowie w kinie. VENGO, VENGO. Piotr Kletowski **10-11**
Wśród Innych. Wojciech Józef Burszta **12-15**
Romowie w kinie. CZAS CYGANÓW, DOM ZA VJESANE. Piotr Kletowski **16-17**
Cygański szyk. Aleksandra Boćkowska **18-21**
Romowie w kinie. CYGAN, CIGAN. Piotr Kletowski **22-23**
Romowie w kinie. CYGAN, LA GITAN. Piotr Kletowski **24-25**
Romowie w kinie. I SKRZYPCE PRZESTAŁY GRAĆ, AND THE VIOLNICS STOPPED PLAYING. Piotr Kletowski **26-27**
Muzyka Cyganów. Anna G. Piotrowska **28-31**
Romowie w kinie. PAPUSZA. Piotr Kletowski **32-33**
Cygański fix. Agnieszka Kręglicka **34-35**
Romowie w kinie. CARMEN. Piotr Kletowski **36-37**
Romowie w kinie. CZARODZIEJSKA MIŁOŚĆ. Piotr Kletowski **38-39**
Widzimy po twarzy. Zofia Bielawska, Michał Kłos, Karol Skalski, Dominika Strymińska **40-42**

FOTOREPORTAŻ

No, Cygany, koniec z wami. Lech Mróz **44-69**

KULTURA

Romane Thana. Miejsca Romów i Sinti. Monika Weychert-Waluszko **70-81**
To już nie do pomyślenia. Agnieszka Wądołowska-Marczewska **82-85**
Kolorowych jarmarków Feria. Jadwiga Romanowska **86-93**

SPOŁECZEŃSTWO

List „Dialog Pheniben". List „Gazety Wyborczej".Komentarz. Joanna Talewicz-Kwiatkowska, Dariusz Kortko, Paweł Smoleński .. **94-95**
O Romach. Sławomir Kapralski **98-101**

HISTORIA

Zagłada Romów w Polsce i problem kolaboracji. Sławomir Kapralski **102-107**
Tego żaden koń nie udźwignie. Magdalena Kicińska, Justyna Pobiedzińska **108-111**

EDYTORIAL

Na całym świecie do opuszczenia swoich domów zostało zmuszonych około sześćdziesięciu milionów ludzi. Niektórym odebrano ojczyznę, niektórzy prześladowani są przez dyktatury w swoich krajach, niektórych z kolei do ucieczki zmusiły katastrofy naturalne. Współcześnie domy dla uchodźców bardzo często stają się obiektem ataków ze strony ugrupowań neonazistowskich, które, niestety, cieszą się coraz większym poparciem w całej Europie.

To fragment przemówienia, które Romani Rose, przewodniczący Centralnej Rady Niemieckich Sinti i Romów, wygłosił 1 sierpnia podczas obchodzonej w tym roku 71. rocznicy likwidacji Zigeunerlager w KL Auschwitz-Birkenau. Rose zwrócił uwagę na brak solidarnej reakcji Europy, jeśli chodzi o pomoc dla uchodźców, oraz na populizm polityków, którzy – mówiąc wprost – przerzucają się słowami o odpowiedzialności oraz żonglują pustymi hasłami, bazując na niewiedzy zwykłych obywateli. Przytaczają raporty, statystyki, przekonują, że ich działania mają chronić ludzi. Taka przecież jest ich rola.
W ten sposób dzielą ludzi na dobrych i złych. Potrzebnych i uciążliwych dla systemu. A przecież – mówią europejscy i polscy politycy – i tak mamy wystarczająco dużo swoich problemów: gospodarczych i ekonomicznych.
Także czynnik kulturowy ma tu znaczenie, bo fala uchodźców zmieni Europę, zaleje nas islam, jeśli przyjmiemy takie masy muzułmanów. Obojętność na cierpienie, a wręcz niechęć do Innych osiągnęły już taki poziom, że nawet zdjęcia ciał dzieci, które wyrzuca morze, nie są w stanie choć na chwilę odłożyć na bok egoizm i brak empatii. Pojawiają się głosy, że imigranci zabierają nam pracę, wyłudzają świadczenia socjalne. To kompletna ignorancja, bo przecież imigrant i uchodźca to nie to samo.
Ale nie to jest najistotniejsze. Uchodźcy i imigranci są przecież ludźmi, o czym często się zapomina. Umilkły dyskusje o miłosierdziu i miłości bliźniego, a dla tych, którzy są szkodliwi, najlepszym miejscem są krematoria w Auschwitz-Birkenau. Nie zmyślam. Piszę o internetowych memach: trampa i ory Birkenau – a na nich muzułmanie. Liczba lajków pokazuje, że podobają się takie obrazki.
Najgorsze jest to, że nie widać, by coś miało się zmienić. Przestaję wierzyć, że Unia Europejska znajdzie rozwiązanie tego problemu. Zbyt wiele razy nie znalazła. Solidarność istnieje tylko na papierze. Twarda kalkulacja, interesy i prawo silniejszego – to się dzisiaj liczy. Człowiek schodzi na drugi plan.
Nie jest to sytuacja nowa. Po wojnie na Bałkanach tysiące, a może dziesiątki tysięcy Romów mieszka w obozach dla uchodźców. Nie mają żadnych szans – formalnie nie istnieją po tym, jak na wojnie stracili wszystko, łącznie z dokumentami. Do dzisiaj ich sytuacja się nie zmieniła. Wegetują, bo żaden kraj nie chce ich przyjąć. Co będzie z nowymi uchodźcami? Jakie będą ich losy? Ile jeszcze ludzkich ciał wyrzuci na brzeg Morze Śródziemne?

Joanna Talewicz-Kwiatkowska

Joanny Talewicz-Kwiatkowskiej
Fotografie: Piotr Wójcik

Chciałabym podzielić się z Wami moimi trzema prawdami. Usłyszałam je od człowieka, który był więźniem obozu koncentracyjnego i później całe życie przekazywał swoje doświadczenia z czasów wojny młodzieży szkolnej.
Jest tylko jedna rasa – ludzka. Jest tylko jedna religia – miłość. Jest tylko jeden świat – lub nie ma go wcale – tak swoje przemówienie 2 sierpnia 2015 roku zakończyła Soraya Post, romska europarlamentarzystka ze Szwecji. O obywatelskości, demokracji i konieczności traktowania Romów jak pełnoprawnych obywateli mówili Roman Kwiatkowski – prezes Stowarzyszenia Romów w Polsce i Romani Rose – przewodniczący Centralnej Rady Niemieckich Sinti i Romów (inicjatorzy i organizatorzy uroczystości). Tegoroczne obchody Międzynarodowego Dnia Pamięci o Zagładzie Romów i Sinti i jednocześnie 71. rocznicy likwidacji tzw. Zigeunerlager na terenie byłego KL Auschwitz-Birkenau trwały dwa dni.

Jak każdego roku byli więźniowie i więźniarki, setki przedstawicieli i przedstawicielek społeczności i organizacji romskich z całej Europy, członkowie i członkinie władz państw europejskich oraz wszyscy ci, którzy chcieli uczcić pamięć pomordowanych podczas II wojny światowej Romów i Sinti, zgromadzili się pod Krematorium V (1.08) oraz pod pomnikiem ku czci pomordowanych w czasie II wojny światowej Romów i Sinti (2.08).

Na uroczystościach upamiętniających jak zwykle byli nie tylko przedstawiciele i przedstawicielki władz samorządowych i centralnych oraz korpusów dyplomatycznych, ale również młodzi ludzie z wielu krajów europejskich.

Podobnie jak w latach ubiegłych towarzyszyły im działania edukacyjne zorganizowane przez Stowarzyszenie Romów w Polsce oraz Fundację Dialog-Pheniben.

Wśród najważniejszych w tym roku na pewno warto wspomnieć o polsko-niemieckim seminarium *Sinti i Romowie w Europie – tożsamość, historia, pamięć,* organizowanym wspólnie z Międzynarodowym Domem Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu, Alternatywnym Centrum Młodzieży Dessau i Stowarzyszeniem Kopalnia Kultury w Chorzowie. Młodzi ludzie z Polski oraz z Niemiec przez pięć dni dyskutowali o procesie pozbawiania praw, wykluczania oraz o eksterminacji Sinti i Romów w czasach narodowego socjalizmu, a także o tym, jak kształtowała się pamięć o tych wydarzeniach. Ważną częścią warsztatów była refleksja dotycząca współczesnej sytuacji tej największej etnicznej mniejszości w Europie.

Podczas warsztatów wykład wprowadzający do historii Romów wygłosiła dr Joanna Talewicz-Kwiatkowska (Fundacja Dialog-Pheniben), warsztaty w oparciu o książkę *Mano. Chłopiec, który nie wiedział, gdzie jest* poprowadziła dr Małgorzata Kołaczek (Fundacja Dialog-Pheniben). Odbyło się również niezwykle ciekawe spotkanie z Krzysztofem Gilem, doktorantem na krakowskiej ASP, który opowiedział, jak romskie korzenie wpływają na jego twórczość. Mówił też o kampanii społecznej „*Jedni z wielu*", której był twarzą. Celem akcji było

przełamywanie funkcjonujących stereotypów na temat Romów.
Ponadto odbyły się: interaktywne warsztaty w oparciu w wystawę poświęconą zagładzie Romów i Sinti w bloku 13. Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, prezentacja Jany Müller i Astrid Schwieder, wolontariuszki z Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu, *Dzieci Sinti z sierocińca w Mulfingen* oraz prezentacja o życiu i twórczości Papuszy, którą przygotowały przedstawicielki Stowarzyszenia Kopalnia Kultury w Chorzowie.
Ciekawym punktem tegorocznych warsztatów były pokaz filmu *Co się stało z Unku – krótkie życie Erny Lauenburger* oraz dyskusja moderowana przez przedstawicieli i przedstawicielki Alternatywnego Centrum Młodzieży w Dessau.

Spotkania z Ocalałymi…
Niestety, jest ich coraz mniej. Mimo podeszłego wieku, wysokich temperatur w sierpniu oraz często setek kilometrów, które muszą pokonać, by przyjechać do Oświęcimia, co roku tu są.
Spotkania z byłymi więźniami i więźniarkami zawsze gromadzą rzesze zainteresowanych. Tak też było w tym roku podczas spotkania z Edwardem Dębickim, które odbyło się w Stowarzyszeniu Romów w Polsce. Romski artysta i poeta, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym oraz Złotym Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis", podzielił się z licznie zebranymi gośćmi swoimi wspomnieniami z czasów wojny. Z kolei w Krakowie, w Centrum Kultury Żydowskiej, odbyło się spotkanie z Hermannem Mano Höllenreinerem – byłym więźniem obozów nazistowskich Auschwitz, Ravensbrück i Sachsenhausen, bohaterem książki Anji Tuckermann *Mano. Chłopiec, który nie wiedział, gdzie jest* wydanej w zeszłym roku przez Fundację Dialog-Pheniben oraz wydawnictwo Nisza. Po spotkaniu Mano został oznaczony Orderem 20-lecia Centrum Kultury Żydowskiej Judaica, a młodzież podarowała mu maskotkę kosa – ptaka, który towarzyszył mu w najtrudniejszych momentach.
Jeśli chcecie poznać historię Mano, zapraszamy do księgarń – książka jest wciąż dostępna (Wydawnictwo Nisza, Fundacja Dialog-Pheniben 2014).

Joanna Talewicz-Kwiatkowska

Soraya Post, Członkini Parlamentu Europejskiego- 2.08.2015

(…)Odczuwam smutek. Obecność w tym miejscu jest bolesna. Boli pamięć, boli, gdy staramy się zrozumieć, gdy odkrywamy fakty (…)

Chciałabym przeprosić Ocalałych, obecnych na dzisiejszej uroczystości.

Moje pokolenie zawiodło. Mieliśmy naprawić to, co było złe. Mieliśmy zbudować nowy świat. Jest mi przykro, że jesteście zmuszeni oglądać i słuchać to, co dzieje się we współczesnej Europie.

Obserwujemy tę samą propagandę, tę samą rasistowską retorykę i tę samą wzrastającą przemoc jak w latach trzydziestych (…)

Historia się powtarza. Potrzebne są nam priorytety i siła. Teraz. Jeżeli nie uda nam się spełnić tego marzenia, nasze życie zamieni się w koszmar.

Chciałabym podzielić się z Wami moimi trzema prawdami. Usłyszałam je od człowieka, który siedział w obozie koncentracyjnym i całe życie spędził na opowiadaniu dzieciom w szkole o swoich doświadczeniach z czasów wojny.

Jest tylko jedna rasa – ludzka. Jest tylko jedna religia – miłość. Jest tylko jeden świat – lub nie ma go wcale.

Roman Kwiatkowski- Prezes Stowarzyszenia Romów w Polsce- 2.08.2015.

(…)Pozwolę sobie na osobistą dygresję.
Jestem obywatelem Polski. Kiedy w 1981 r. władza ludowa zmusiła mnie do udania się na emigrację, przyjąłem to z wielką przykrością, nie rozumiałem tego! Starałem się o powrót do kraju i powróciłem.

Dlaczego? Ponieważ to jest mój kraj! Chciałem być dumny i jestem dumny z tego, że jestem obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej.
Tak myślą polscy Romowie!

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat społeczność romska przeszła wiele przemian. Romowie żyją w wielu państwach. W każdym zakątku globu chcą być traktowani jak równoprawni obywatele państw, które zamieszkują.

Nie chcemy przywilejów, ale nie chcemy też stygmatyzacji. Nie chcemy umieszczania nas w gettach tworzonych przez myślenie schematyczne i stereotypowe.

Chcemy w sposób integralny i pełnoprawny uczestniczyć w życiu społecznym, gospodarczym, kulturalnym, przy zachowaniu własnej kultury i własnych tradycji. Tak rozumiem pojęcie integracji (…)

Romani Rose, Przewodniczący Centralnej Rady Niemieckich Sinti i Romów- 1.08.2015

(…)W tym miejscu chciałbym nawiązać do sytuacji uchodźców w Europie, o której słyszymy z doniesień medialnych.

Na całym świecie do opuszczenia swoich domów zostało zmuszonych około sześćdziesięciu milionów ludzi. Niektórym odebrano ojczyznę, niektórzy prześladowani są przez dyktatury w swoich krajach, niektórych z kolei do ucieczki zmusiły katastrofy naturalne.

W ubiegłym roku na terenie Niemiec doszło do ponad tysiąca aktów przemocy wobec osób, które różnią się od społeczeństwa większościowego pochodzeniem, kolorem skóry lub orientacją seksualną.

Współcześnie domy dla uchodźców bardzo często stają się obiektem ataków ze strony ugrupowań neonazistowskich, które, niestety, cieszą się coraz większym poparciem w całej Europie. Na ulicach w Niemczech tłumy skandują hasła przepełnione nienawiścią. Jednak na te przejawy nienawiści w wielu miejscach brak jest reakcji, demokratycznej reakcji. Przedstawiciele ugrupowań politycznych reagują na te wydarzenia populistycznymi hasłami, na których często cierpi również nasza mniejszość.

Domy dla uchodźców płoną. Zaczyna się podział na dobrych i złych uchodźców, a w tle tego wszystkiego cierpią także Romowie (…)

Romowie w kinie

ROMSKIE INSPIRACJE

Nie ma nic bardziej fotogenicznego niż cygański tabor przemierzający bezdroża, rozwiana suknia tańczącej Cyganki, śpiewający Romowie zabawiający weselnych gości. Kino kocha Romów - owocem tej miłości jest wiele niezwykle interesujących filmów, które przeszły do klasyki X muzy. Rzecz jasna są wśród tych pozycji dzieła posługujące się stereotypami w myśleniu i pokazywaniu Romów i ich kultury. Są też takie, które jedynie powierzchownie zatrzymują się na kulturowym fenomenie Cyganów, ukazując tylko to, co oni sami chcą pokazać światu. Te filmy zwykle realizowane są przez nie-Cyganów, którzy starają się dotknąć tajemnicy ludu „o sercach utkanych z wiatru".

Ale są też filmy poważniejsze, zwykle kręcone przez reżyserów Romów, bądź twórców bliskich romskiej kulturze, które próbują ukazać prawdę o tych wiecznych wędrowcach. Dzieła te starają się zmienić perspektywę z tej „zewnętrznej", z której widać jedynie przykuwający oko błysk cekinów, na „zewnętrzną", z której objawia się prawda, często tragiczna o życiu ludzi, dla których najważniejszą wartością jest wolność. Przyjrzyjmy się tym najsłynniejszym, najbardziej reprezentatywnym filmom przedstawiającym Romów, ich życie i ich kulturę.

Piotr Kletowski

Piotr Kletowski, kulturoznawca, filmoznawca, adiunkt na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ. Jego zainteresowania naukowe oscylują wokół problemu polityki autorskiej w kinie, historii X muzy oraz wymiany międzykulturowej w obrębie światowej kinematografii, zwłaszcza między kinem zachodnim i azjatyckim. Autor książkowych monografii Takeshiego Kitano, Stanleya Kubricka, Piera Paolo Pasoliniego oraz kinematografii dalekowschodnich.

VENGO, VENGO

REŻ. TONY GATLIF, HISZPANIA-FRANCJA 2000

Tony Gatlif – potomek algierskich Romów, aktor i reżyser samouk, który swymi niezwykłymi filmami oddał sprawiedliwość cygańskiej społeczności, ukazując całe piękno, romantyzm, ale i tragizm życia zamieszkujących Europę (zwłaszcza jej południowe części) Romów. Spośród wszystkich nakręconych przez Gatlifa filmów *Vengo* ma miejsce szczególne. Ten pulsujący rytmem andaluzyjskich gitar dramat, który przywołuje na myśl sławiące cygańską kulturę utwory F.G. Lorki (zwłaszcza sławetną *Czarodziejską miłość*), opowiada o Caco (Antonio Canales) – nestorze cygańskiego rodu, który toczy krwawy spór z innym cygańskim rodem. Efektem sporu są ofiary po obu stronach zwaśnionych klanów. Jedną z nich była ukochana córka Caco, którą on musiał pomścić. W myśl starodawnego kodeksu „krew za krew" Caco oddać musi w ręce rodu Caravaca swego niepełnosprawnego bratanka, którego kocha nad życie. Mężczyzna postanawia więc zakończyć spór raz na zawsze… To wstrząsające, przepiękne kino, które pozwala wejść w sam środek życia andaluzyjskich Cyganów, doświadczyć ich egzystencji, która rządzi się prostymi, często niezrozumiałymi dla tzw. cywilizowanego człowieka zasadami, wyrosłymi jednak z tradycji i egzystencji zgodnej z naturą, ale podniesionej do rangi poezji. „Musicie zrozumieć – mówił reżyser – że kultura Romów jest brutalna, ale bez tej brutalności nie byłoby również jej piękna".

Fot. Materiały prasowe

Wśród Innych

- Każdy kontakt kulturowy to wędrówka myśli.
- Świat to nie tylko „my", ale i „oni".

Wojciech Józef Burszta

Świat zawsze był wielokulturowy, był zatem od zarania dziejów *melangé* różnych konwencji życia, które ścierały się ze sobą, rywalizowały, ale potrafiły także zgodnie współżyć na mocy przyjętych reguł. Historia kultury to dzieje kontaktów, dyfuzji, wzajemnych inspiracji, dzięki którym budowało się przekonanie, że istniejemy wprawdzie „my", ale nigdy nie jako samotna wyspa, lecz w otoczeniu innych. W optyce tradycyjnych nauk społecznych i humanistycznych ludzie jednak przede wszystkim „siedzieli u siebie", bo tylko zlokalizowanie tożsamości do warunków oswojonego *orbis interior* rzekomo gwarantowało, że jednostka unika poznawczych dysonansów i wytwarza sobie spójny obraz świata, przynależąc przede wszystkim do własnej kultury.

Wiemy jednak, że ludzie od zawsze byli mobilni, że wiedza o świecie tworzyła się na przecięciu *orbis interior* i *orbis exterior*. Jednostki, a wraz z nimi ich tożsamości, były nieustannie w ruchu, mimo pozornego pozostawania przez nie w miejscu i izolacji. Ruch zatem jest zawsze gwarantem osiadłości, która jest najczęściej pewnym wyborem, a nie wyłącznie koniecznością. Łatwiej jednak przychodziło pisać o świecie statycznym, uładzonym, systemowo zorganizowanym; o wiele trudniej mierzyć się z realiami płynnymi, zawsze się jakoś przemieszczającymi, zmuszającymi do rewizji pewności orzeczeń, jak się sprawy mają. Najtrudniej zawsze opisywać to, co jest „pomiędzy" jako wynik międzykulturowego kontaktu, sprawiającego, że elementy uważane za „swoje" wcale takimi autonomicznymi całostkami nie są. Każdy kontakt kulturowy to także wędrówka myśli, budująca opozycję „my" – „oni", która zdaje się zawsze punktem wyjścia do zrozumienia fenomenu, że świat to nigdy nie tylko „my", lecz że „oni" logicznie go dopełniają. Kultura ludzka na poziomie najbardziej abstrakcyjnym jest symbolicznym uniwersum ludzkich możliwości, ale realizują się one zawsze w konkretnych warunkach i przyjmują postać różnych – historycznie i typologicznie – kultur określonych czasoprzestrzennie. Jest to ten rodzaj wielokulturowości, który został niejako zaprojektowany przez nauki w rodzaju antropologii, gdyż to one sformułowały reguły, jak porządkować różnorodność społecznych form istniejących na ziemskim globie. Odrębność każdej kultury to także jej zakres przestrzenny, wyznaczany pojęciem granicy.

W najróżniejszych skądinąd konwencjach rozumienia kultury, jakich antropologia dopracowała się od połowy XIX stulecia, powracającym motywem jest jej związek z „kultywowaniem" terytorium. O każdej z kultur zakłada się, że ma ona swoją lokalizację przestrzenną, że jest zawsze „skądś" i zawiera się „gdzieś". Nawet klasyczna definicja kultury, sformułowana przez Edwarda B. Tylora, która określa ją jako „złożoną całość" składającą się z takich składników, jak wiedza, religia, sztuka, moralność, prawo czy obyczaje, *implicite* zakłada, że sposób, w jaki ludzie żyją i nadają sens światu, zależy także od świadomości własnej odrębności od innych „złożonych całości" zamieszkiwanych przez ograniczone terytorialnie wspólnoty. Granice mojej kultury są granicami mojego świata, zdaje się podpowiadać Tylor, a myśl tę podchwycili późniejsi antropolodzy, tworząc opowieści o mozaice kultur świata. Mój świat to system przekonań i wierzeń, które podzielam ze współziomkami, homogeniczna i zwarta całość gwarantowana dzięki wzajemnym więzom i kontaktom w określonych granicach.

Zarysowane powyżej rozumienie kultury wywodzi się wprost z antropologicznych badań małych społeczności tubylczych, zarówno wyspiarskich, jak i kontynentalnych. To do nich model homogenicznej, terytorialnie ograniczonej i odtwarzającej się niemal w tej samej formie wspólnoty zdawał się idealnie pasować. Stosowana niekiedy przez badaczy metafora laboratorium podkreślała, że analizując niewielkie liczebnie grupy ludzi można dojrzeć to, co we wspólnotach złożonych (narodowych) zakryte, niejawne i bardziej abstrakcyjne. Przekonanie to miało bardzo długi żywot i nawet współcześnie zdarza się, iż antropolodzy melancholijnie powracają do wyobrażeń o świecie składającym się z autonomicznych całości, których nie dotykały problemy zapętleń, przepływów i hybrydyczności ludzi i idei o charakterze ponadterytorialnym. Zaiste, słusznie zauważył swego czasu Ulf Hannerz, że różnorodność była kiedyś ładniej, bardziej elegancko „opakowana", a dzisiaj musimy ją postrzegać zupełnie inaczej.

Współczesna antropologia społeczno-kulturowa nie zawsze do końca radzi sobie ze światem, którym rządzi „kondycja nomadyczna", każąca nam nade wszystko przystosowywać się nieustannie do zmieniających się warunków, w swoisty sposób „wędrować" po wartościach, „koczować" w przeróżnych wizjach zakorzenienia, ale także – promująca zdolność do metamorfozy, zarówno materialnej, jak i symbolicznej. Ów znany nam umykający świat istotnie staje się płaski w tym sensie, że konsekwencje neoliberalnego modelu życia dotarły już wszędzie, penetrując każdy zakątek globu, każdą osobową intymność i model życia, a co więcej – stawiając potężne wyzwania przed ich poznawczym ogarnięciem. Skoro zatem żyjemy w „hotelu nomadów", by posłużyć się tytułem przepięknej książki Ceesa Nooteboma, tym samym, chcąc tego czy nie, stajemy się rodzajem podróżników, którzy wędrując, są zmuszeni czynić pospieszne obserwacje, zapisywać je i ciągle zestawiać z innymi afektami codzienności – nomada się przemieszcza, a wraz z nim to wszystko, co ze sobą zabiera w formie poznawczego doświadczenia. Żyjemy na styku, w nieustającym kontakcie i informacyjnym szumie.

Dodajmy przy tym, że dzisiejszy nomada, tak jak go chcę rozumieć, nie musi ruszać się z miejsca w sensie fizycznym, jako że to świat płynie wokół niego, sprawiając, że nawet najbardziej lokalna egzystencja jest byciem w oku cyklonu. Powiedziałbym wręcz – za Jonathanem Franzenem – iż nawet jeśli zostaniemy w domu, to i tak technologia znajdzie sposób, aby nie odstępować nas ani na krok, oferując feerię *słowoobrazów* świata w ruchu. Dzisiaj podróżowanie bywa po prostu ucieczką z technologicznego raju (no, może nie do końca…) po to, aby rzekomo doświadczyć bezpośrednio, w sposób niezapośredniczony, jakiejś mitycznej autentyczności, świata zatrzymanego w kadrze, a w istocie będącego wyłącznie funkcją naszej wyobraźni. Jak pisze Nooteboom: „Cyklonem jest świat, a okiem to, czym podróżnik na ten świat patrzy. Z meteorologii wiemy, że w oku cyklonu jest cicho, może nawet równie cicho, jak w klasztornej celi. Ten, kto nauczy się patrzeć tym okiem, nauczy się też być może oddzielać rzeczy istotne od nieistotnych, choćby poprzez dostrzeganie, w czym sprawy i ludzie się różnią, a w czym są tacy sami". Podróżowanie wynika z reguły z tęsknoty za różnicą, jest ucieczką od tożsamości, ale bywa jedynie potwierdzeniem, że tkwimy w miejscu, jakbyśmy nigdy nie opuszczali domu. Stąd zarówno podróżowanie, jak i pozostanie „u siebie" są analogicznymi strategiami ucieczki – jedni wybierają ruch, drudzy złudną ciszę odpoczywającego nomady. Taki jest, moim zdaniem, paradoks dzi-

siejszej antropologii. Staje się ona, niejako wbrew sobie, antropologią samotności i bardzo osobistej refleksji nad światem globalnego MY.
A jest to świat paradoksalny. Dzięki nowym mediom dyfuzja treści kulturowych może rozprzestrzeniać się w sposób nieograniczony – potencjalnie wiemy o wszystkim i o wszystkich. Jednocześnie, inspirując się treściami z różnych kultur, korzystając z nich, przetwarzając w nowe całości, wcale nie musimy lubić innych ludzi, *ergo* twórców i nosicieli tych treści, które tak nas fascynują. Zglobalizowany technologicznie i ekonomicznie świat jakby na powrót zamykał się w kulturowych twierdzach. I tak, ceniąc wielce nomadyczność naszego życia, nieufnie przyglądamy się tym wszystkim, którzy nie mają stałego adresu, a więc także „ludom bez ziemi", tym wszystkim, którzy kołaczą teraz do bram Europy. Powraca na masową skalę sposób myślenia, który śmiało można nazwać monokulturowym: zawsze lepiej jest, kiedy ludzie różnią się jak najmniej, kiedy posiadają wspólne korzenie, język, religię, bez problemu rozpoznają się we wspólnych symbolach i nawykach, a także – co istotne – nie kłują w oczy odmiennym wyglądem i dziwnymi konwencjami ubioru. Jest dobrze, kiedy jasno można wytyczyć granicę między „my" i „oni". Monokultura etniczna musi się jednak dzisiaj zmierzyć z problemem imigracji, masowego przemieszczania się ludzi z najróżniejszych zakątków świata, z których część – o zgrozo – postanawia osiedlić się w kraju goszczącym na stałe. Wówczas zaczyna się problem, rodzą się potencjalne pola konfliktu w sytuacji, bo to oczywiste, kiedy coraz trudniej schodzić sobie z drogi, a „oni" zakłócają dotychczasowe *status quo* „naszości". Jak swego czasu napisał Umberto Eco, diagnozując pogłębiającą się wielokulturowość Europy: nie wiemy, „co należy zrobić, kiedy reprezentant jakiejś kultury, której zasady nauczyliśmy się szanować, osiedla się w naszym kraju. W rzeczywistości większa część rasistowskich reakcji na Zachodzie nie wynika z tego, że w Mali mieszkają animiści (wystarczy, aby siedzieli we własnym domu, jak mówi Liga Północna), lecz z tego, że animiści osiedlają się na naszych terenach". Zamieńmy animistów na Syryjczyków, Afgańczyków czy Libańczyków, a zobaczymy, jak uniwersalny to dzisiaj sposób myślenia w Europie. To, że Europejczycy przez wieki byli w sytuacji dzisiejszych „wyklętych ludów ziemi", zdaje się być historią ze szczętem zapomnianą; także Polacy, zamiast siedzieć u siebie, w milionowych masach zasiedlili wszak wszelkie możliwe miejsca globu. I nadal to robią, jednocześnie wielce się oburzając na dwa tysiące przybyszów, którzy pojawią się na czas jakiś w granicach kraju…

Cechą zglobalizowanego świata żywiącego się wielokulturowością treści, ale „bez ludzi", jest traktowanie kultury jako zasobu. Jeremy Rifkin jednoznacznie identyfikuje pojmowanie zasobów kultury z kwestią dostępu do nich, a ten z kolei z komercyjnym przemysłem, jakim jest dzisiaj kapitalizm kulturowy, którego z kolei awangardą jest globalny turyzm. Zacytujmy znamienne zdanie tego badacza: „Rynek wsysa coraz większe obszary światowej kultury – cuda przyrody, katedry, muzea, pałace, parki, obrzędy, święta – i przekształca je w różne formy dóbr służących rozrywce i nauce najbogatszych ludzi na świecie. To, co stanowiło ongiś o historycznej wielkości kultury, teraz redukuje się do rekwizytów i dekoracji teatralnej w płatnym widowisku". Nie ma wątpliwości, że natychmiast możemy przywołać przykłady potwierdzające pesymistyczną prognozę Rifkina, ale jednocześnie rodzi się sprzeciw przed tak jednostronnym rozumieniem globalnego procesu utowarowienia kultury jako dostępu zasobów tradycji. Warto trochę rozszerzyć panoramę i zniuansować ostre sądy przeciwników kapitalizmu kulturowego.
Ideę kultury jako zasobu albo kultury jako praktycznych korzyści (*expediency*) można rozumieć wielorako, nie tylko w sensie postulowanym przez Rifkina, albo Michaela Hardta i Antonio Negri. W rozumieniu tych autorów doszło do cynicznego zabiegu redukcji symbolicznych tradycji kulturowych w celu ich komercyjnego wykorzystania jako źródła, którym żywi się kapitalistyczna gospodarka oparta na poszukiwaniu kolejnych pól ekspansji dla samej siebie. Kultura jest towarem, jak każdy inny, a towar nade wszystko musi być dobrze opakowany, atrakcyjny, kolorowy, egzotyczny i wabić obietnicą niespodzianki, bo ta ostatnia napędza istotę metakultury symultaniczności (nieustająca oferta nowych treści). Z natury towaru wynika ponadto, że prawa do niego mają ci wszyscy, którzy go nabyli albo chcą nabyć. Wspólnota, z jakiej genetycznie wywodzą się elementy symboliczne, i w której mogą być one nadal „żywymi stanami kultury", jak powiedziałby Max Weber, traci tym samym wpływ na ich dalszy los, niejako zrzeka się ona – by pozostać w tej poetyce – praw własności do nich.
Strategia rozumienia kultury-jako-zasobu przejawia się wszakże w wielu innych sektorach dzisiejszego życia. Czyż sama idea muzeów nie jest zbudowana na takim pojmowaniu dziedzictwa kulturowego? Galerie sztuki czy muzea literatury to nic innego, jak ekspozycje światowego albo narodowego dorobku, który liczony jest zarówno jakościowo, jak i ilościowo, składając się na dorobek (=zasoby) światowej kultury artystycznej. Podobnie dzieje się w przypadku bujnie rozwijających się działań na rzecz promowania kultur tubylczych albo ludowych. Pojęcie zasobów absorbuje i unieważnia różnice między kulturą wysoką, kulturą w sensie antropologicznym i kulturą popularną. Ta pierwsza staje się głównym zasobem wykorzystywanym na przykład w dzisiejszych muzeach promujących rozwój miast, jak Muzeum Guggenheima w Bilbao. Rytuały, codzienne praktyki estetyczne w rodzaju pieśni, opowieści, obyczajowości, zwyczajów kulinarnych, a także wszelkie inne praktyki symboliczne traktuje się jako zasoby zapewniające dostęp do kulturowego dziedzictwa zarówno dla odbiorcy wewnętrznego, jak i turystów, przy czym ci pierwsi coraz częściej mają taki sam status jak drudzy, i trudno odróżnić ich potrzeby i oczekiwania.
Z zasobów kultury korzystają także organizacje lokalne, rodzące się inicjatywy artystyczne, fundacje i stowarzyszenia i działalność z kręgu animacji kultury. To także źródło budowania obywatelstwa kulturalnego, tak dobrze widoczne zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej. W tym kontekście kultura-jako-zasób jest jedynie pretekstem do działań edukacyjnych, artystycznych i kulturalnych, które przyjmują postać hybrydyczną – wychodzą od zastanej wiedzy, ale przekształcają ją w nową wartość wynikającą z aktywności działających osób i grup, które w istocie zreinterpretują istniejące zasoby, tworząc z nich zbiór otwarty na kolejne przekształcenia. I w tym właśnie upatrywałbym nadziei na to, że dzisiejsze przekształcenie kultury w zasoby, z których buduje się wyobrażenia, doznania i estetykę codzienności, nie do końca da się sprowadzić do rynku, zysku i metakulturowej gry o globalnym wymiarze. Także w dziedzinie praktyk turystycznego podróżowania. Warto mieć jednak świadomość zagrożeń, o jakich pisze Jeremy Rifkin: „Produkcja dóbr kultury zawsze pożycza od sfery kulturowej, nie rodzi się nigdy w sferze komercyjnej. W tym sensie produkcja dóbr kultury zależy od surowców ze sfery kultury tak samo, jak produkcja przemysłowa zależy od surowców naturalnych. Obydwie formy produkcji mają charakter wydobywczy. Kulturę, podobnie jak przyrodę, można eksploatować aż do wyczerpania zasobów. Jeżeli będziemy nadmiernie eksploatować i marnotrawić kulturę, wtedy rynkowi grozi utrata przysłowiowej kultury znoszącej złote jajka. Różnorodność kultury przypomina urozmaicenie środowiska przyrody. Kiedy będziemy eksploatować całe bogactwo kultury światowej dla szybkich zysków w sferze komercyjnej i nie pozwolimy kulturze na regenerację i odnowę, wtedy gospodarka utraci zasoby ludzkich doznań, z których czerpie produkcja dóbr kultury". Warto mieć tego świadomość, radując się skądinąd, że granicami naszego życia stają się granice wyobraźni.

Wojciech Józef Burszta

Wojciech Józef Burszta, profesor zwyczajny, kierownik Katedry Antropologii Kultury na Uniwersytecie SWPS w Warszawie; kieruje także Zakładem Badań Narodowościowych Instytutu Slawistyki PAN w Poznaniu, prezes Instytutu im. Oskara Kolberga, redaktor naukowy półrocznika „Sprawy Narodowościowe", przewodniczący Rady Naukowej kwartalnika „Przegląd Kulturoznawczy", przewodniczący Komitetu Nauk o Kulturze PAN; wykładowca w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Gorzowie; antropolog kultury, kulturoznawca i eseista piszący o rzeczach poważnych i ulotnych. Stypendysta Fulbrighta i Fundacji Kościuszkowskiej, wykładał w Yale, Chicago i Paryżu. Interesuje się muzyką rockową, futbolem angielskim; miłośnik i znawca kryminałów. W 2005 roku osiadł w Milanówku; w roku 2015 ukazała się jego najnowsza książka *Preteksty*.

Romowie w kinie

ROMSKIE INSPIRACJE

CZAS CYGANÓW, DOM ZA VJESANE

REŻ. EMIR KUSTURICA, JUGOSŁAWIA 1988

Emir Kusturica – epigon tzw. czarnego kina jugosłowiańskiego – przerabiając klasyczne filmy z lat 60. i 70., sięgnął wreszcie po legendarne dzieło Petrovicia *Spotkałem nawet szczęśliwych Cyganów*, dokonując swego rodzaju współczesnego „upgrade'owania" dzieła sprzed lat. Tym razem bohaterem jest młody Cygan Perhan (Davor Dujmović), obdarzony telekinetycznymi właściwościami. Aby zebrać pieniądze na operację chorej siostry i ożenek z piękną Azrą (Sinolicka Trpkova), musi wyjechać do Włoch. Tam zmuszony zostaje do działalności, wbrew własnej woli, zwykle niezgodnej z prawem. Mimo wszystko bohater zachowuje w sercu niewinność i żywe wspomnienie swoich bliskich, które pozwolą mu ocalić godność, choć i, w ostateczności, zmuszą do konfrontacji ze złem. Pięcioodcinkowy serial (o wiele lepszy niż pełnometrażowy, trzygodzinny film) to epopeja, która posługując się formułą realizmu magicznego, pozwala uchylić okno „latającego domu" (taki jest oryginalny tytuł filmu) – czyli „cygańskiej duszy": utkanej z emocji, pieśni i poświęcenia. Jest bez dwóch zdań najlepszym filmem Kusturicy, który – śladem swego mistrza Petrovicia – konsultował scenariusz z Romami, a nawet zaangażował ich do wielu ważnych ról. Osobnym dokonaniem jest muzyka Gorana Bregovicia, oparta na oryginalnych romskich kompozycjach i wydana na płycie *Ederlezi*.

Piotr Kletowski

Fot. East News

Cygański szyk

Moda to taka dziedzina sztuki, gdzie wprawdzie hoduje się krokodyle na torebki, ale dużo mówi o wartościach A więc wolność, miłość, a więc odwołanie do kulturowych korzeni, najlepiej jakiejś mniejszości – to wszystko świetnie się sprzedaje Nic więc dziwnego, że z wpływów estetyki cygańskiej moda korzysta obficie

Aleksandra Boćkowska

Fot. Zeppelin Photo/East News

MEDIOLAN NOWY JORK

Nosi wąsy i jedynie półżartem mówi, że facet bez wąsów jest mniej więcej tym samym, co kobieta z nimi. Nosi zresztą wiele więcej dziwnych rzeczy i chętnie o tym opowiada. Chodził kiedyś z projektantką mody, w 2008 roku jego styl stał się inspiracją dla Fridy Giannini – wówczas szefowej artystycznej marki Gucci – przy tworzeniu męskiej kolekcji. Całkiem niedawno pokazał się na okładce ukraińskiej edycji najważniejszego w świecie mody magazynu „Vogue".

W wywiadach szpanuje nonszalancją. „Nie lubię wielkich marek. Najchętniej kupuję ubrania na bazarach w Serbii i w Brazylii. Szukam ręcznie robionych pasków. Biżuteria musi być regionalna", opowiada. I tylko mimochodem wspomina, że jeśli nosi coś drogiego, to od Yohji Yamamoto, bo on akurat jest ponadczasowy. „Świat modelingu jest nudny, mnóstwo tam głupich ludzi", ocenia. Wolno mu, bo żeby zacząć grać muzykę, przez dwa lata dorabiał jako model.

Oto Eugene Hütz, lider grupy Gogol Bordello, gwiazdor stylu gypsy punk. Pochodzi z Ukrainy, w jednej czwartej jest Romem, mieszka w Nowym Jorku i tam właśnie z powodzeniem przenosi cygańskie rytmy do popkultury. Rytmy i ornamenty. Zawsze ma na sobie pięć albo sześć złotych łańcuchów z romskimi emblematami, które dostał od Romów podczas podróży po świecie. „Nigdy ich nie zdejmuję. Nauczyłem się w nich spać", wyznaje w rozmowie ilustrowanej zdjęciem, gdzie ubrany w purpurowe sztruksy, fioletową marynarkę i zieloną koszulę w intensywne wzory, twarz wychyla zza złotej ramy. Złotej w kolorze, bo jeśli chodzi o materiał, to nawet na fotografii widać, że to jakieś drewno ze śmietnika. Cygan rodem z powszechnych wyobrażeń; nic dziwnego, że moda go uwielbia.

Bo w modzie skomplikowany może być splot tkaniny, odwołania muszą być proste.

Gipsy prince

„Boho" to przewodnie hasło magazynów mody ostatniej wiosny. W polskim „Harper's Bazaar" na okładce rozczochrana Anja Rubik i podpis: „Wszystkie kochamy boho: fantazja, lekkość, seksapil, wolność, wygoda". W japońskim „Vogue" – duża sesja „Dziewczyna z bohemy", gdzie holenderska modelka Sanne Vloet prezentuje ciuchy wielkich marek: Valentino, Saint Laurent, Sonia Rykiel, wszystkie utrzymane w „boho chic". W „Vogue" hinduskim modelka w kwiecistej powłóczystej sukni i z mnóstwem złotych bransolet zapowiada materiał „Gypsy Rose", w którym redakcja radzi, jak malować się i czesać, by wyglądać po cygańsku (dzikie warkocze i oczy pociągnięte przygaszonym cieniem powinny załatwić sprawę).

Takich przykładów są setki – jak świat mody długi i szeroki.

Tymczasem wszystko zaczęło się z górą 200 lat temu, gdy paryscy artyści, pozbawieni państwowej kurateli, zwyczajnie nie mieli pieniędzy. Wtedy narodziła się paryska bohema – już w nazwie odwołująca się do cygańskich tradycji. Bieda wymusiła na nich nomadyczny styl życia i noszenie ubrań niezgodnych z obowiązującą, sztywną modą, z pozoru przypadkowych. Z pozoru, bo i tu prędko zaczęły obowiązywać zasady.

Musiało być luźno, z naturalnych surowców, bez gorsetów, kolorowo. Połączenia kolorów – nieoczywiste. Barwne szale wiązano wokół szyi, we włosach i zamiast pasków. Ściągano trochę z chłopów – ze wsi przybyły tuniki, luźne spodnie, sandały. W dobrym stylu były elementy orientalne – z Indii, Turcji i Chin. Plus dużo biżuterii. Jeśli bransoletki, to kilka, jeśli kolczyki, to wielkie koła. Przez cały XIX wiek to wszystko działo się w artystycznej niszy. W opozycji do burżuazji i mieszczaństwa, do sztywnej epoki wiktoriańskiej. Może i budziło zazdrość, ale nikt nie myślał, że na niedbałym stylu można zarobić poważne pieniądze. Pierwszy wpadł na to Paul Poiret – projektant popularny w Paryżu przed pierwszą wojną światową. Dla jasności: nie ubrał bogatych paryżanek w lejące tuniki, ale znacznie poluzował fasony. To on, zanim na dobre zrobiła to Coco Chanel, wyzwolił kobiety z gorsetów. Szył kimonowe płaszcze. Inspirował się Orientem i rosyjskim baletem. Robił rzeczy bardzo kolorowe, raczej z adamaszku niż jedwabiu.

Słowem – jeszcze nie gypsy king, raczej zbuntowany książę, ale to on pokazał, że można.

Hippie deluxe

18 czerwca 1967 roku, Kalifornia Monterey Pop Festival. Pod sceną tysiące młodych ludzi. Kwiaty we włosach, długie sukienki i szerokie spodnie. Na scenie Jimi Hendrix podpala gitarę i roztrzaskuje ją o podłogę. W tle trwa Lato Miłości w San Francisco.

Hippisi buntowali się przeciw wojnie w Wietnamie, mieszczańskiemu wygodnictwu rodziców i niesprawiedliwościom kapitalizmu. Świata nie zmienili, ale modę – owszem. Przemysł mody był już mądrzejszy o doświadczenie początku lat sześćdziesiątych, kiedy okazało się, że opłaca się patrzeć w dół.

Rewolucję zaczynają paryskie modelki Christiane Bailly i Emmanuelle Khanh, które pod koniec lat pięćdziesiątych, znudzone wyrafinowaniem *haute couture*, wymyślają miejskie, sportowe ciuchy i prezentują je w niezależnych galeriach i klubach.

Powodzenie tych kolekcji skłoni projektantów do uruchomienia tańszych linii *prêt-à-porter* – dziś to one wyznaczają trendy. W 1962 roku Mary Quant w Londynie szyje minispódnicę, a Barbara Hulanicki pod marką Biba sprzedaje mini i inne młodzieżowe ubrania za kilka funtów. Wykwintni francuscy designerzy pokazują sukienki przed kolana dopiero kilka lat później. Wielka moda pierwszy raz w historii ściąga wzory z ulicy. Kiedy zobaczy hippisów, nie może im się oprzeć.

A oni, tak się składa, ubierają się według zasad, które skądś już znamy. Długo, luźno, powłóczyście. Naturalne tkaniny. Orientalne inspiracje. Kwiaty, wzory, kolory. Dużo ozdób, najchętniej własnego wyrobu. Ze zdobyczy XX wieku – dżinsy.

Cyganeria jak się patrzy. Ten styl życia budzi sprzeciw, być może trochę z zawiści, ale ciuchy bardzo się podobają. Wielka moda musi zareagować.

Początek lat siedemdziesiątych to raczej Londyn – Zandra Rhodes (ubierała Freddiego Mercury'ego; wszyscy pamiętamy „Bohemian Rhapsody") czy Bill Gibb, który sklep z ubraniami „hippie deluxe" otwiera przy superdrogiej Bond Street. Ale potem po boho inspirację sięga Yves Saint Laurent – jeden z tych projektantów, którego nazwisko obiło się o uszy nawet całkowitym w sprawie mody ignorantom.

Jest lipiec 1976 roku, hotel InterContinental Le Grand, historyczny budynek, w pobliżu Opery, sala lustrzana. Yves Saint Laurent pokazuje kolekcję „Opéra-Ballet Russes", inspirowaną rosyjskim baletem, operą i strojami cygańskimi. Szerokie, marszczone spódnice, trójkątne chusty w roli żakietów, kozackie płaszcze, bojarskie kaftany, złote hafty, aksamity i brokaty, intensywne kolory: czerwień, lila, fiolet, niebieski. „To rewolucyjna kolekcja, która zmienia kierunek mody", napisze „New York Times".

Polska cygańska

„Ja na tym wybiegu pełnym bojarów dopatrzyłem się cygańskich dziewcząt", wspomina Jerzy Antkowiak, wówczas dyrektor Mody Polskiej ds. artystycznych. Był na tym pokazie i do tej pory po plecach przechodzą mu ciarki, kiedy o nim myśli, bo tak wielkie wywarł wrażenie.

Kiedy Antkowiak wrócił do Polski, myśl o Cyganach nie dawała mu spokoju. I zrobił swoje. Warszawski Pałac Prymasowski, wśród modelek Małgorzata Niemen, Bogna Sworowska, Katarzyna Butowtt. Sute spódnice, sznury korali i faceci w czarnych spodniach z lampasami, wypomadowani jak sewilscy Romowie. Bo Yves Saint Laurent, choć Antkowiaka idol nad idole, tylko podrzucił pomysł. Inspiracja była cygańska jeden do jednego, podkreślona muzycznym tłem z „Carmen" Georges'a Bizeta.

Oczywiście nie oznacza to, że nazajutrz pół Polski nosiło kolorowe kreacje Mody Polskiej. Pokazy Mody Polskiej były raczej sztuką dla sztuki, w sklepach sprzedawano rzeczy bardziej stonowane. Po drugie cygańską modę pół Polski nosiło już od kilku lat. Oczywiście tę w wersji hippie, na pewno nie deluxe. Bo czy może być coś lepszego dla kraju pogrążonego w kryzysie niż ciuchy, które bez trudu można zrobić samemu, ozdobione byle czym, byle tylko obficie? Nie może. O ile w różnych dekadach PRL-u z doganianiem zachodnich trendów było różnie, o tyle w latach siedemdziesiątych wyglądaliśmy jak trzeba. Może tylko kolory prędzej się spierały...

Świat się chwieje

Inspirowana kulturą cygańską moda narodziła się z biedy i, jak pokazuje historia, wraca w niepewnych czasach. W XX wiek wprowadzili ją młodzi Amerykanie zaniepokojeni swoją przyszłością. Francuscy projektanci zaadaptowali ją po kryzysie naftowym. Wreszcie Frida Giannini z Gucci kolekcję opartą na stylu Eugene'a Hütza pokazała w grudniu 2008 roku, chwilę po wybuchu obecnego kryzysu.

I od tej pory „boho chic" ciągle gdzieś wraca. Na świecie i w Polsce. Popularny warszawski projektant Robert Kupisz w 2012 roku urządził nawet pokaz w stylu cygańskiego wesela. Szale, falbany, zamaszyste spódnice, dżinsowe peleryny – dla dziewczyn. Modele z włosami na brylantynę, domalowanymi wąsami, bo wiadomo, facet bez wąsów jest jak…

Ostatniej wiosny boho zdominowało okładki pism prezentujących modę i sieciowe sklepy. Co sezon modny jest trend z jakiejś przeszłej dekady. Teraz akurat wypadło na lata siedemdziesiąte. Pewnie niebawem się skończy. By równie szybko powrócić.

Aleksandra Boćkowska

Fot. Zeppelin Photo/East News

PARYŻ

LONDYN

Aleksandra Boćkowska, dziennikarka, redaktorka. Jako dziennikarka pracowała w „Gazecie Wyborczej" i „Newsweeku", jako redaktorka w magazynach o modzie „Elle" i „Viva!Moda". Autorka książki „To nie są moje wielbłądy. O modzie w PRL" (Wydawnictwo Czarne). Pracuje nad książką o luksusie w PRL.

Romowie w kinie

ROMSKIE INSPIRACJE

Fot. Materiały prasowe

CYGAN, CIGAN

REŻ. MARTIN ŠULIK, SŁOWACJA 2011

Šulik – nestor kina słowackiego – tworzy przekonujący obraz romskiej społeczności, realizując oryginalną wersję Szekspirowskiego "Hamleta"umiejscowionego w środowisku słowackich Cyganów. Bohaterem filmu jest młody Adam (Jan Mizigar), którego ojciec – szanowany Rom – zmarł w tajemniczych okolicznościach. Ojczym Adama – władczy Zigo – jest brutalnym gangsterem, który nienawidzi gadziów, których okrada i oszukuje. Adam chce prowadzić normalne życie, uczyć się, być ze swą ukochaną dziewczyną, trenować boks. A jednak – jak w cygańskiej wróżbie – przeznaczenie dopadnie bohatera w najmniej spodziewanym momencie. Film Šulika daleki jest od poetyckiego, sentymentalnego obrazu Romów, do jakiego przyzwyczailiśmy się w kinie. To po prostu realistyczny społecznie i psychologicznie film, ukazujący Romów jako ludzi z krwi i kości. A jednak i tutaj losy bohatera dalekie są od przaśności i normalności – kierują nim siły, nad którymi nikt i nic nie potrafi zapanować.

Piotr Kletowski

Romowie w kinie

ROMSKIE INSPIRACJE

CYGAN, LA GITAN

REŻ. JOSE GIOVANNI, FRANCJA-WŁOCHY 1975

Z pozoru sztampowe kino akcji, z gwiazdą kina sensacyjnego – Alainem Delonem. Ale jeśli Alain gra tu z rozwianą grzywą i sumiastymi wąsami, do tego będąc Cyganem, który przede wszystkim broni honoru swych pobratymców, to umieszczenie filmu Giovanniego na liście „najlepszych filmów o Romach" wcale nie jest bezzasadne. Delon i Giovanni wykorzystują tutaj stereotypowy obraz Cygana – kryminalisty, ale jednocześnie z nim grając, czyniąc bohatera wyrazicielem tłamszonych w zachodnim, konsumpcyjnym społeczeństwie wartości: bohaterstwa, solidarności, brawury i niezależności. To widowiskowe kino dało początek całemu cyklowi filmów sensacyjnych z Cyganami w roli głównej (ostatnio *Przekręt*, 2000, Guya Ritchiego, z Bradem Pittem w roli sympatycznego i najcwańszego w całym przestępczym Londynie Cygana-boksera), wciąż jednak pozostając na tym polu najlepszym filmowym osiągnięciem.

Piotr Kletowski

Fot. Materiały prasowe

Romowie w kinie

ROMSKIE INSPIRACJE

I SKRZYPCE PRZESTAŁY GRAĆ, AND THE VIOLNICS STOPPED PLAYING

REŻ. ALEXANDER RAMATI, POLSKA– USA 1988

Adaptacja powieści Alexandra Ramatiego, jeden z rzadkich przykładów filmowej wizji romskiego Holocaustu. Rzecz rozgrywa się w 1943 roku, kiedy hitlerowcy przeprowadzają masową deportację i zagładę Romów. Śledzimy losy zasymilowanego warszawskiego Cygana – Dymitra Mirgi (Horst Buchholz) – który gra na skrzypcach w lokalu dla faszystowskich dygnitarzy (stałym gościem przybytku jest doktor Mengele; w tej roli Marcin Troński). Kiedy dochodzi do niego informacja o mordowaniu Cyganów i Żydów w obozach koncentracyjnych, postanawia dotrzeć do swego rodzinnego taboru w Brześciu i stamtąd dostać się na Węgry, by uniknąć zagłady. Eskapada udaje się, ale to nie koniec wojennej odysei Mirgi, który jeszcze raz zetknie się z „miłośnikiem" cygańskiej kultury – doktorem Mengele. Ten bardzo ciekawy, zrealizowany w polsko-amerykańskiej koprodukcji film ukazuje w realistyczny, choć niepozbawiony poetyckiej nuty sposób tragiczne losy Romów, którzy podobnie jak inni „podludzie" – Żydzi – przeznaczeni byli przez nazistów do całkowitej zagłady.

Piotr Kletowski

Fot. POLFILM/East News

Muzyka Cyganów – źródło inspiracji badaczy i kompozytorów

Do utrwalenia stereotypów romantycznej wizji Cygana przyczyniły się muzyczne dzieła sceniczne. Ale czy to jest „prawdziwa cygańska muzyka”?

Anna G. Piotrowska

Muzyka wykonywana przez Romów, a także jej wpływ na profesjonalną twórczość muzyczną, niewątpliwie wzbudza zainteresowanie muzykologów i etnomuzykologów. Ale już sam termin „muzyka cygańska” różnie bywa rozumiany. Z jednej strony postrzega się go jako określenie muzyki wykonywanej w celach zarobkowych przez Romów dla gadziów, co wpisuje to pojęcie w stymulowane literackimi i malarskimi portretami wyobrażenie o muzyku cygańskim i jego grze. Z drugiej strony pojęcie „muzyka cygańska” stosuje się en bloc na zasadzie skrótu myślowego na oznaczenie rozmaitych praktyk muzycznych uprawianych wśród wielu grup romskich na ich własny użytek.

Te dwa sposoby definiowania „muzyki cygańskiej” nie tylko mają różne pola znaczeniowe, ale odnoszą się także do dwóch odmiennych spojrzeń na kulturę cygańską. Pierwsze uogólnia „cygańskość” w ramach romantycznej wizji utopijnego świata, którego ważnym elementem jest muzyka. Natomiast drugie odzwierciedla pozytywistyczny stosunek do rzeczywistości, w którym wartością nadrzędną jest zobiektyzowany opis i rzeczowa analiza. W celu uniknięcia nieporozumień prowadzących do nakładania na siebie pól znaczeniowych sformułowań „muzyka cygańska” oraz „muzyka romska” lub „muzyka Romów” proponuję, aby owo pierwsze, starsze historycznie określenie odnosić do jakości brzmieniowych kojarzonych z tradycjami kapel cygańskich oraz cygańskich wykonawców np. flamenco - grających zarobkowo, natomiast termin „muzyka romska”/„muzyka Romów” zarezerwować dla praktyk obserwowanych wśród Romów muzykujących na własny użytek. Warto jednak podkreślić, że także spory dotyczące istnienia bądź nie jednego, wspólnego idiomu muzycznego charakterystycznego dla wszystkich Romów stały się przyczyną wielu nieporozumień natury metodologicznej.

To Franz Liszt, prekursor literatury poświęconej muzyce Romów/Cyganów, w swojej wpływowej pracy z 1859 roku stosował określenia „muzyka cygańska” oraz „muzyka Cyganów”, odnosząc je do muzyki, którą zasłyszał w wykonaniu kapel węgierskich Cyganów. Kompozytor nie opisywał więc praktyk muzycznych uprawianych przez Romów we własnym gronie, ale skoncentrował się na repertuarze i manierze wykonawczej Zigeunerkapellen specyficznych zespołów cygańskich, popularnych od końca XVIII wieku na terenie Europy Środkowej. W swojej książce Liszt wpisał tę muzykę w szeroki kontekst społeczny, poświęcając osobne rozdziały m.in. pochodzeniu Cyganów z Indii czy charakterystyce osobowości wyidealizowanej postaci Cygana. Autor z jednej strony *implicite* sugerował czytelnikom, że muzyka wykonywana przez kapele cygańskie (w celach zarobkowych) na dworach czy w miejskich kawiarniach i restauracjach, a więc dla słuchaczy niecygańskich, jest reprezentatywna dla wszystkich Cyganów, także tych muzykujących niezarobkowo we własnym gronie. Z drugiej zaś strony Liszt utożsamiał pojęcie „muzyka cygańska” z ideą muzyki węgierskiej, co stało się przedmiotem krytyki ówczesnych luminarzy węgierskiego życia intelektualnego.

Lisztowskie rozumienie terminu „muzyka cygańska” miało wpływ na innych autorów podejmujących ten temat na przełomie XIX i XX wieku. Na przykład Carl Engel w swoich artykułach z lat 80. XIX wieku używał określenia „the music of the Gipsies”, ale odnosił ten termin zarówno do węgierskich, jak i hiszpańskich tradycji cygańskiego muzykowania w miejskich lokalach dla słuchaczy niecygańskich, a ponadto do muzykowania Cyganów na swój własny użytek. Wpływ Liszta był tak silny, że jeszcze na początku XX wieku niektórzy autorzy, tacy jak amerykański badacz Albert Thomas Sinclair, w swych artykułach na temat muzyki cygańskiej („Gypsy music”) identyfikowali ją z wszelką muzyką wykonywaną na Węgrzech.

Jednym z pierwszych autorów wyraziście dystansujących się od koncepcji łączenia repertuaru muzycznego granego przez kapele węgierskich Cyganów (dla słuchaczy niecygańskich) z ideą węgierskiej muzyki narodowej był na początku XX wieku Béla Bartók, kompozytor i etnomuzykolog, który za konstytutywne w rozważaniach na temat węgierskiej muzyki narodowej uznał pieśni i tańce wykonywane przez węgierskich chłopów, a nie węgierskich Cyganów. Ponadto podejmował on kwestię autorstwa muzyki wykonywanej przez Zigeunerkapellen: problematyczność terminu „muzyka cygańska” tłumaczył faktem odnoszenia go do muzyki wykonywanej wprawdzie przez muzyków cygańskich, ale skomponowanej przeważnie przez kompozytorów węgierskich (często półamatorów). Rozważając repertuar prezentowany miejskiemu „odbiorcy zewnętrznemu”, kompozytor mówił m.in. o „melodiach granych przez Cyganów”, o „cygańskim wykonaniu” lub o „cygańskim stylu”. Stosowane słownictwo było wynikiem przekonania Bartóka, że repertuar Cyganów węgierskich był w istocie węgierskiego pochodzenia i że „owa popularna muzyka węgierska” jest „niesłusznie zwana cygańską muzyką”. Chociaż Bartók podkreślał węgierskie pochodzenie repertuaru kapel cygańskich, to jednocześnie wciąż stosował na jego określenie obiegowy termin „muzyka cygańska”. Dystansował się od niego poprzez albo wprowadzenie go w cudzysłowie, albo anonsowanie go wiele mówiącym dodatkiem: „tak zwana”. Kompozytor wskazał jednak na istnienie własnej muzyki Romów, nazywając ją „prawdziwą muzyką cygańską”.

Kwestię rozumienia terminu „muzyka cygańska” w piśmiennictwie muzycznym poruszył węgierski muzykolog Bálint Sárosi w swojej ważnej pracy z 1971 roku *Cigányzene*, tłumaczonej na język niemiecki jako Zigeunermusik i na język angielski jako Gypsy music. Węgierski badacz wyraźnie podkreśla, że termin „muzyka cygańska” funkcjonujący zarówno w literackich opisach, jak i w piśmiennictwie muzykologicznym stosowany bywa często bezrefleksyjnie na określenie nie tylko muzyki wykonywanej przez Cyganów w miejskich lokalach dla słuchaczy niecygańskich, ale także muzyki granej przez Cyganów we własnych społecznościach, należących do różnych grup etnicznych i żyjących nie tylko na Węgrzech. Sárosi stosuje zatem takie terminy, jak „Gypsy bands” i „Gypsy folk music”, przy czym ten drugi rezerwował dla opisu muzyki ludowej Romów (np. Romungre czy Kełderaszy). Natomiast to pierwsze pojęcie „Gypsy bands” autor odnosi do kapel muzyków cygańskich grających w miastach. Oma-

wiając działalność kapel cygańskich i ich repertuar, Sárosi konsekwentnie pisał o „cygańskich muzykach" (Gypsy musicians), a nie wzorem Liszta i jego kontynuatorów o „muzyce cygańskiej".

Osobną ścieżkę badawczą stanowią poszukiwania etnomuzykologiczne oraz rozważania nad stanem muzyki kultywowanej przez Romów na własny użytek. Ich pokłosie to opracowania analityczne, których przedmiotem są modele struktur melicznych oraz rytmicznych wyabstrahowane np. z pieśni wykonywanych przez Cyganów, a także dokładna charakterystyka instrumentarium itp. Prowadzone przez etnomuzykologów szczegółowe badania skupiały się na dokumentacji praktyk i sposobów muzykowania, repertuaru oraz na znaczeniu muzyki wykonywanej w konkretnych grupach romskich. Wykorzystując własne metody badawcze (zapis fonograficzny, transkrypcja melodii, fotografie instrumentarium, zapis kamerą wideo tańców i występów wokalnych czy instrumentalnych itp.), etnomuzykolodzy prowadzą systematyczną obserwację i analizują praktyki muzyczne kultywowane przez poszczególne, wyodrębnione przez etnologów, grupy romskie. Istotny dla badaczy okazał się także problem adaptacji języka muzycznego Romów do nowych warunków społecznych z końca XX wieku: etnomuzykolodzy zgłębiają przeobrażenia dotyczące wzorców melodycznych pieśni śpiewanych przez Romów, a zachodzących pod wpływem piosenek popularnych, a także zmiany instrumentarium, rolę nowych form przekazu itp. Prym w zakresie badań etnomuzykologicznych poświęconych grupom romskim wiodą od XX wieku naukowcy węgierscy (np. Katalin Kovalcsik, Irén Kertész-Wilkinson), austriaccy (Ursula Hemetek), hiszpańscy (Bernard Leblon), a współcześnie również amerykańscy (Carol Silverman). W Polsce badania nad muzyką Romów prowadzą m.in. Ewa Kafel i Monika Janowiak-Janik.

Syntetyzującą próbę usystematyzowania owych spojrzeń muzykologicznych, historycznych, antropologiczno-kulturowych, etnograficznych i socjologicznych na fenomen muzyki łączonej z romskimi wykonawcami oraz muzyki przypisywanej Cyganom w ramach kultury europejskiej podjęłam w 2011 roku w książce *Topos muzyki cygańskiej w kulturze europejskiej od końca XVIII do początku XX wieku*, wyodrębniając heurystyczne modele recepcji muzyki określanej szeroko jako cygańska: asymilacyjny o wyraźnym charakterze narodowościowym, włączający muzykę graną przez Romów do kultury muzycznej zamieszkiwanego przez nich kraju, oraz nieasymilacyjny-opisujący tę muzykę w kategoriach muzycznej egzotyki i przejawiający się narzuceniem perspektywy rasowej. Jak wykazały moje badania, owe dwa dominujące typy dyskursu przenikały się, oddziaływały także na twórczość kompozytorską omawianego okresu.

Należy podkreślić, że dopiero w latach 70. ubiegłego wieku przedmiotem zainteresowania niektórych badaczy stała się twórczość kompozytorów europejskich, którzy w swoich dziełach, zarówno poprzez tytuł, treść libretta, jak i inny rodzaj skojarzenia, odwoływali się do świata Cyganów. Wątki cygańskie łączyli oni z pojęciem „muzyki cygańskiej" przypisywanej kapelom cygańskim, a także z postaciami cygańskimi uwiecznianymi w scenicznych dziełach muzycznych. Na przykładzie dzieł operowych XIX wieku kwestię inspiracji „cygańskością" zasygnalizował niemiecki muzykolog Rudolph Angermüller w artykule zatytułowanym „*Zigeuner und Zigeunerisches in der Oper des 19. Jahrhunderts*". Kolejną próbą skonceptualizowania problematyki inspiracji tematyką cygańską w europejskiej muzyce artystycznej był artykuł szwajcarskiego muzykologa Maxa Petera Baumanna „*Roma in Spiegelbild europäischer Kunstmusik*", chociaż tekst ten ma jedynie charakter przyczynkowy. Inne powstające dotychczas prace koncentrowały się głównie na kwestii oddziaływania muzyki wykonywanej w XIX wieku przez kapele Cyganów węgierskich na warsztat kompozytorski europejskich twórców muzyki, interpretowany za pomocą takich pojęć, jak „*style hongrois*" i „*verbunkos idiom*". Pod koniec XX wieku amerykański muzykolog Jonathan Bellman w artykule „*Toward a Lexicon for the Style Hongrois*" oraz książce *The Style Hongrois in the Music of Western Europe* rozwinął uwagi Liszta na temat „muzyki Cyganów", zawarte w jego słynnej książce. Zaproponował on także nowy termin „style hongrois", traktując go zarówno jako kategorię teoretyczną, jak i historyczną. Próbował on bowiem szukać genezy owego stylu kojarzonego z węgierskimi Romami i śledził jego rozwój na przykładzie wybranych utworów Haydna, Webera, Schuberta, Liszta i Brahmsa. Problematyka związana z koncepcją „stylu węgierskich Cyganów" oraz działalnością węgierskich Cyganów muzyków w miejskich lokalach na przełomie XIX i XX wieku dyskutowana była też w ostatnich latach przez amerykańskich muzykologów: Elizabeth Loparits, Catherine Mayes oraz przez Rüdigera Bültmanna czy Shaya Loyę. Ten ostatni w swojej książce *Liszt's Transcultural Modernism and the Hungarian-Gypsy Tradition* zdystansował się jednak od terminu „style hongrois" (sugerującego przecież konotacje narodowe) i wprowadził pojęcie „verbunkos idiom", odnosząc je zarówno do tradycji cygańskiej, jak i pewnych środków kompozytorskich stosowanych przez Liszta.

Dyskusje dotyczące tematyki cygańskiej w twórczości kompozytorów europejskich koncentrują się zatem wokół teoretycznych koncepcji oraz kojarzonych z nimi wybranych utworów, głównie Liszta (Rapsodie węgierskie) czy Johannesa Brahmsa (Tańce węgierskie), ale także wielorakich kompozycji z XIX wieku i pierwszej połowy XX, odwołujących się do wizji „cygańskości". A owa, szeroko rozumiana, wizja „cygańskości" będąca swoistym intelektualnym konstruktem, a nie opisem jakiejś realnej rzeczywistości obejmuje romantyczne wyobrażenie świata cygańskiego stymulowane obrazami kreowanymi przez pisarzy i poetów, a także płótnami malarskimi. W ramach tej wizji „cygańskości" realizowanej w kompozycjach muzycznych poczesne miejsce zajmowała postać i osobowość Cygana, człowieka wyraziście wyrażającego skrajne emocje, także poprzez muzykę. W dobie romantycznej doczekał się bowiem Cygan muzyk, także Cygan wróżbita i Cygan wieczny wędrowiec swoistej apoteozy, choć nie należy zapominać, że także w operach, operetkach czy baletach Cyganom przypisywano też cechy negatywne.

Można wręcz twierdzić, że do utrwalenia stereotypu romantycznej wizji Cygana przyczyniły się muzyczne dzieła sceniczne: obok tych funkcjonujących do dziś w życiu muzycznym również te niewznawiane, a w XIX stuleciu cieszące się dużą popularnością. Swoją rolę odegrały także pieśni i utwory instrumentalne (głównie fortepianowe), komponowane zarówno przez wybitnych twórców (Schumanna, Liszta, Brahmsa), jak i przez wielu zapomnianych dziś autorów utworów muzycznych. Wydawane przez rozmaite oficyny i przeznaczone do domowego muzykowania, odegrały one istotną rolę w propagowaniu utopijnego świata cygańskiego. Owe inspiracje cygańskie w kompozycjach XIX i XX wieku były pochodną wpływów literatury pięknej, ikonograficznych wyobrażeń na temat wyglądu i sposobu życia Cyganów oraz przekazów historycznych. By posłużyć się sformułowaniem zaproponowanym przez Leszka Polonego w jego pracy *Symbol i muzyka* były one zmysłowymi realizacjami „niewidzialnej treści". Jak pisze bowiem Polony, nawet fragment czy część utworu „oparta na określonym toposie stylistycznym, gatunkowym czy ekspresywnym, [...] „uobecnia" jakąś dziedzinę doświadczenia egzystencjonalnego, staje się reprezentacją postaci literackiej, przedstawia trudne do zwerbalizowania przeżycia czy nawet idee filozoficzne". Aluzyjny, trudny do uchwycenia i sprecyzowania aspekt „cygańskości" dzieł muzycznych, lub ich odcinków, analizowany w świetle teorii hermeneutycznych, wpisuje się także w krąg poszukiwań muzykologicznych obarczonych stygmatem „niewystarczalności słów, pewnej bariery poznawczej, tajemnicy świata nieuchwytnego, niewyrażalnego, odsłaniającego się raczej w błysku intuicji niż w logiczno-analitycznym dyskursie". A do takiego świata inspiracje kulturą cygańską w dziełach muzycznych XIX i XX wieku z całą pewnością należą.

Anna G. Piotrowska

Dr hab. Anna G. Piotrowska, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka wielu książek i opracowań poświęconych europejskiej i amerykańskiej kulturze muzycznej. Od wielu lat interesuje się tematyką dotyczącą relacji pomiędzy kulturą cygańską i dziejami nowożytnej kultury europejskiej, prezentując wyniki swoich badań na międzynarodowych konferencjach i sympozjach. Brała udział w pracach międzynarodowych grup badawczych, była stypendystką prestiżowych fundacji. Za swoje publikacje otrzymała wiele zarówno polskich, jak i zagranicznych nagród.

Romowie w kinie

ROMSKIE INSPIRACJE

PAPUSZA

REŻ. JOANNA KOS-KRAUZE, KRZYSZTOF KRAUZE, POLSKA 2013

Polska superprodukcja poświęcona życiu i dziełu Bronisławy Wajs – Papuszy – cygańskiej poetki, której wielki literacki talent przyczynił się do jej chwały (odkryta przez pisarza i badacza literatury Jerzego Ficowskiego, stała się symbolem cygańskiej kultury w Polsce), jak i osobistej tragedii (uznana za „zdrajczynię" cygańskich tajemnic, skazana na ostracyzm przez romską społeczność, dotknięta została psychiczną chorobą). Z jednej strony najpełniejsza w polskim kinie próba zmierzenia się z romską tradycją, z drugiej nie do końca udana wizja życia Papuszy (w tej roli, źle dobrana, Jowita Budnik). A jednak przynajmniej jedna scena w tym zaskakująco czarno-białym (stanowiącym kontrast dla kolorowej, romskiej kultury) filmie godna jest wielkich pochwał: koncert uwięzionych przez policjantów romskich muzykantów, dających popis swych umiejętności za kratami powiatowego więzienia. Dzięki swej muzyce Cygan może być wolny nawet wtedy, kiedy jest uwięziony.

Piotr Kletowski

Fot. Krzysztof Ptak, Wojciech Staroń/Dystrybucja NEXT FILM

Cygański fix

Placek po cygańsku? Zupa na gwoździu Jednym i drugim szczycą się restauracje i literatura Dlaczego? Bo mają w sobie smak romskiej egzotyki

Agnieszka Kręglicka

Na pierwsze miejsce wybija się placek po cygańsku. Spory krążek z ciasta z tartych ziemniaków, usmażony na złoto, miękki, dość gruby, złożony na pół, wypełniony ciemnym sosem z kawałkami mięsa, papryką, marchewką, groszkiem i pomidorami. Najczęściej podawany w przydrożnych zajazdach, bywa specjalnością szefa kuchni, najmocniej eksponowaną atrakcją menu.
Tuż za nim plasuje się cygański kociołek, jednogarnkowe danie, rodzaj mięsnego gulaszu, doprawionego mieloną papryką, z boczkiem, ziemniakami, cebulą, koncentratem pomidorowym i śmietaną. Popularność kociołka podchwycił nawet jeden ze spożywczych koncernów, wypuszczając na rynek „kociołek cygański fix" - mieszankę przypraw, która ułatwia przygotowanie dania w domu.

Określenie „cygański", „po cygańsku" dodaje restauracyjnemu daniu wyrazistości, niesie skojarzenia, że będzie to potrawa treściwa, mięsna, mocno doprawiona, pożywna. Służy podniesieniu sprzedaży, uatrakcyjnieniu opisu, jakkolwiek nijak się ma do realnego rozpoznania kuchni narodowej Romów. Zarówno w stosunku do placka, jak i do cygańskiego kociołka bywają też używane inne określenia. Podobnie przygotowywane dania nazywają się też „po węgiersku" lub „po zbójnicku". Tu również nazwa opiera się na micie i wyobrażeniu, a nie na pogłębionej wiedzy kulinarnej.

Blogi kulinarne rozszerzają „cygański" repertuar o zapiekankę z plastrów schabu, przełożonych warstwami plastrów cebuli i marchwi, przykrytą mieszanką majonezu i tartego żółtego sera. Majonez i ser w czasie pieczenia rozpuszczają się, tworząc kremowy sos, co jest nieoczekiwaną gratką. Nietypowe zastosowanie majonezu i połączenie tego z „cygańskością" wydaje się bliskie idei cygańskiej wieczerzy na gwoździu, znanej z wiersza Fredry „Cygan i baba". Według niej Cygan zaintrygował gospodynię, oferując ugotowanie zupy na gwoździu. Do garnka nalał wody, dodał spory gwóźdź i gotował, domagając się dodatków: soli, masła, kaszy. Nietrudno się domyślić, że cygańsko-fredrowska wieczerza na gwoździu okazała się pożywna i wyśmienita, choć podejrzewam, że od gwoździa większy w tym udział miały składniki otrzymane od baby.

Wśród dań legendarnych, niespotykanych dzisiaj, ale sławiących kuchnię cygańską, jest kura pieczona w glinie. Wypatroszoną, nieoskubaną kurę (albo gęś) smaruje się grubą warstwą mokrej gliny i wkłada do żaru w ognisku. Glina wysycha i zasklepia się w czasie pieczenia, chroniąc mięso, by mięknąc, pozostało soczyste. Rozłupując glinianą skorupę, ściąga się jednocześnie niepotrzebne pióra. O pieczeniu tą samą metodą złapanych w lesie jeży pisze Jerzy Ficowski.
By przypomnieć tę metodę w dzisiejszych restauracjach, można byłoby wykorzystać tzw. garnek rzymski. Szczelnie zamykane naczynie z surowej gliny namacza się w wodzie, następnie umieszcza w nim mięso i wstawia do piekarnika. Efekt jest podobny, pieczeń soczysta i krucha. Najistotniejszym elementem diety cygańskiej obserwowanej w taborze w latach powojennych było wykorzystywanie dzikich roślin z lasów i przydroży. Ceniono grzyby, orzechy, jagody, maliny oraz pokrzywy, lebiodę, barszcz, dzikie zioła. Dziś ich dostępność i umiejętność wykorzystania zanika.

Kuchnia narodowa, choć przypisywana poszczególnym państwom, nie istnieje w formie jednorodnej, zawsze jest zlepkiem kuchni regionalnych. Kuchnia francuska, włoska, polska czy niemiecka to konglomerat małych kuchni lokalnych, opartych na produktach dostępnych w poszczególnych rejonach, na specyfice tamtejszych dóbr. Wspólny smak kształtują charakterystyczne dla danego narodu wierzenia i historia, wykształcone zwyczaje i temperament mieszkańców. Cyganie, podróżując po różnych okolicach, przesiąkają kuchniami miejsc, w których przebywają. W Andaluzji ich dania pełne są papryki i szafranu, barwiących sosy na zdecydowane kolory. Mało jest mięsa, jada się głównie warzywa i rośliny strączkowe, ciecierzycę, soczewicę i fasolę. Na pasterskich Bałkanach króluje mięso, w kawałkach lub zmielone, zamienione na kebabczety i mięsne sosy. W Polsce, w domu legendarnego pieśniarza Don Vasyla, popisową potrawą jest kapusta duszona ze schabem, delikatna i rozpływająca się w ustach.
O ile stroje, muzyka, tańce są łatwo rozpoznawalnym elementem romskiej kultury, kuchnia pozostaje mniej eksponowana. Wiadomo, że jest domeną kobiet, że sztandarowym, najbardziej honorowanym produktem jest kura, jej mięso, oraz rosół na kurze ugotowany. Ponieważ rosół z kury w polskich restauracjach uważany jest za danie typowo polskie, nie mógłby pojawić się jako specjalność cygańska. Taki przydomek nadaje się potrawom bardziej egzotycznym, wnoszącym powiew wolności, tęsknoty za podróżą i nieznanym światem.

Agnieszka Kręglicka, smakoszka, restauratorka, znakomita kucharka i autorka licznych przepisów kulinarnych. Propagatorka slow food.

Romowie w kinie

ROMSKIE INSPIRACJE

Fot. Star Line/PARALLEL Pictures/PLANET Pictures/East News

CARMEN

REŻ. VINCENT ARANDA, HISZPANIA 2003

Nie mogło w tym zestawieniu zabraknąć filmowej wizji najsłynniejszej Cyganki w historii: ognistej Carmen, dla której „miłość to dziki ptak, leci tylko tam, gdzie chce”. Ale paradoksalnie nie wybieram żadnej filmowej wersji opery Bizeta, lecz filmową wersję powieści Prospera Mériméego, na podstawie której Bizet skonstruował swoją wizję życia andaluzyjskiej „fatalnej piękności”. W wersji z 2003 roku zagrała ją wspaniała Paz Vega – rodowita Andaluzyjka (urodzona w 1976 roku w Sevilli), która w roli wiodącej na pokuszenie (aż do tragicznego końca) pięknej i wolnej dziewczyny, która jest prawdziwym „Don Juanem w spódnicy”, stworzyła swoją życiową rolę.

Piotr Kletowski

Romowie w kinie

ROMSKIE INSPIRACJE

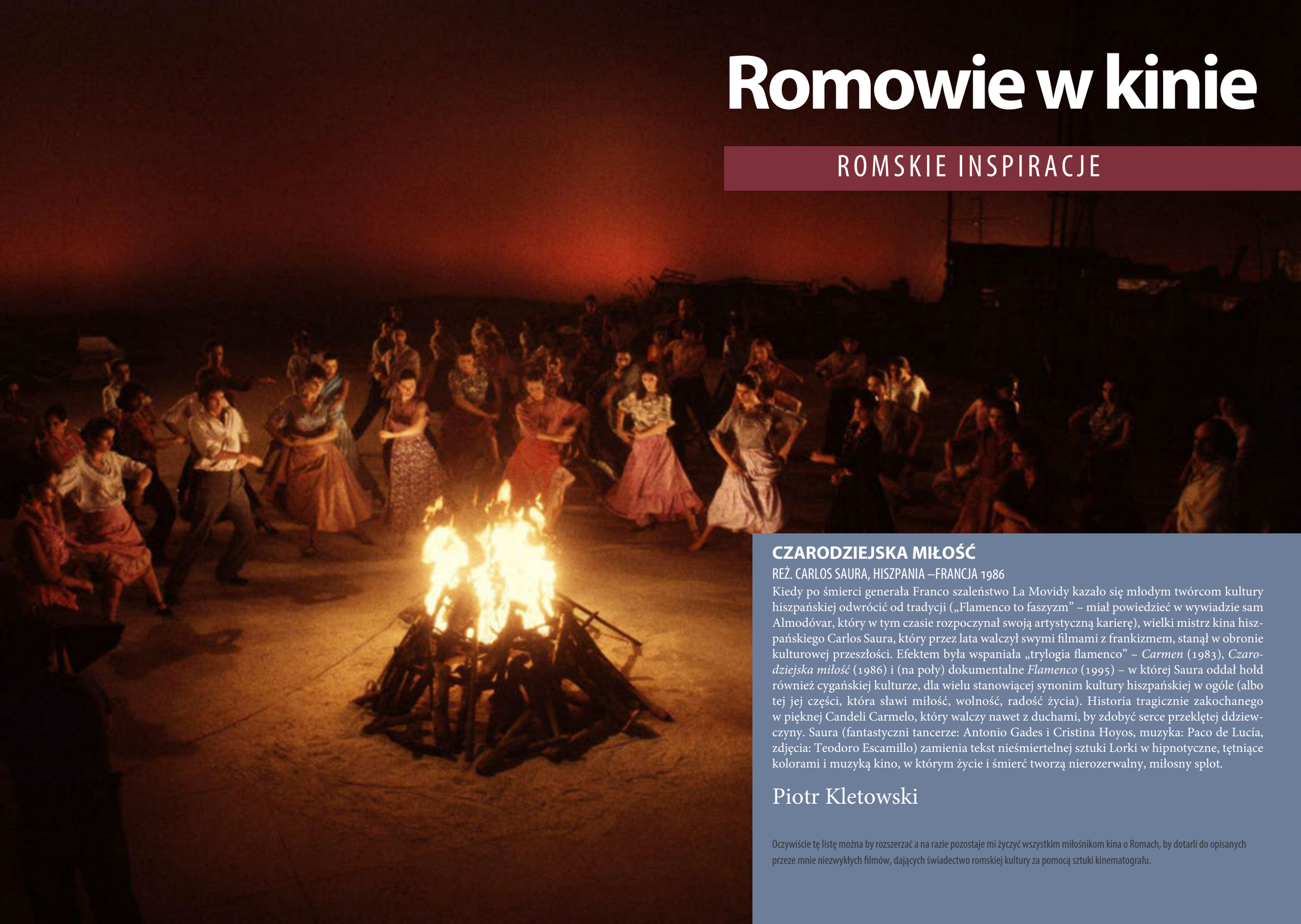

CZARODZIEJSKA MIŁOŚĆ

REŻ. CARLOS SAURA, HISZPANIA –FRANCJA 1986

Kiedy po śmierci generała Franco szaleństwo La Movidy kazało się młodym twórcom kultury hiszpańskiej odwrócić od tradycji („Flamenco to faszyzm” – miał powiedzieć w wywiadzie sam Almodóvar, który w tym czasie rozpoczynał swoją artystyczną karierę), wielki mistrz kina hiszpańskiego Carlos Saura, który przez lata walczył swymi filmami z frankizmem, stanął w obronie kulturowej przeszłości. Efektem była wspaniała „trylogia flamenco” – *Carmen* (1983), *Czarodziejska miłość* (1986) i (na poły) dokumentalne *Flamenco* (1995) – w której Saura oddał hołd również cygańskiej kulturze, dla wielu stanowiącej synonim kultury hiszpańskiej w ogóle (albo tej jej części, która sławi miłość, wolność, radość życia). Historia tragicznie zakochanego w pięknej Candeli Carmelo, który walczy nawet z duchami, by zdobyć serce przeklętej ddziewczyny. Saura (fantastyczni tancerze: Antonio Gades i Cristina Hoyos, muzyka: Paco de Lucía, zdjęcia: Teodoro Escamillo) zamienia tekst nieśmiertelnej sztuki Lorki w hipnotyczne, tętniące kolorami i muzyką kino, w którym życie i śmierć tworzą nierozerwalny, miłosny splot.

Piotr Kletowski

Oczywiście tę listę można by rozszerzać a na razie pozostaje mi życzyć wszystkim miłośnikom kina o Romach, by dotarli do opisanych przeze mnie niezwykłych filmów, dających świadectwo romskiej kultury za pomocą sztuki kinematografu.

Widzimy po twarzy

rozmowa z wróżką Grażyną

Kościół bardzo potępia wróżby Jezusowi to się nie podoba Modlę się, żeby mi wybaczył Przecież z tego żyję

Zofia Bielawska
Michał Kłos
Karol Skalski
Dominika Strymińska

Wróżenia można się nauczyć, czy trzeba mieć dar?
– Trzeba mieć dar, najczęściej po dziadkach. Trzeba się z tym urodzić, moja mama od swojej mamy mi przekazała. Wróżenie musi być wpojone w nas, aby utrzymać tę tradycję. Niektóre wróżki wolą iść do tradycyjnej pracy. Niestety...

Czy wróżki występują tylko w rodzinach, w których wróży się od pokoleń?
– Zazwyczaj tak, ale zdarza się, że ktoś ma dar, a nigdy wcześniej nie miał wróżki w rodzinie.

Jak w takim razie rozpoznać, że dziewczynka ma dar?
– To się czuje podczas rozmowy, ale tylko między Cyganami. Wróżą głównie kobiety, mężczyźni bardzo rzadko.

Kiedy zaczyna się szkolić wróżkę?
– Już od dziecka. Wpajamy jej wróżenie, jak tylko zaczyna rozumieć, czym to jest, ma pięć, sześć lat. Jeśli przez pierwsze pół roku się nie spodoba, to odpuszczamy.

Są za to jakieś kary?
– Nie, nie! Broń Boże!

Jakie są techniki wróżenia wykorzystywane przez romskie wróżki?
– Patrzymy w oczy, widzimy po twarzy. Czytamy z ręki, najczęściej z lewej. Jest taka jedna Cyganeczka, co ma szklaną kulę, ale już nie mieszka w Bydgoszczy.
Ja człowieka czuję po rozmowie, albo jak w oczy spojrzę – o, pani na przykład bywa nerwowa, ale dobre serce pani ma, pani dla ludzi dużo robi, ale nie słyszy już tak często „dziękuję". Ja człowieka szybko wyczuwam.

Czy do wróżenia potrzeba specjalnego czasu, miejsca?
– Trzeba mieć dobry dzień, miejsce nie ma znaczenia. Nie wszystkim wróżymy, czasem odmawiamy klientom – jeśli widzimy, że ktoś jest zły i ma złe intencje. Chociaż prawdziwa wróżka z każdej ręki wywróży. Tylko oszustki czasem biorą pieniądze i nie wróżą.

Czy ludzie mają wpływ na swoją przyszłość, czy można zmienić los?
– Czasem wróżby się nie sprawdzają. Czasem można zapobiec złym wydarzeniom z przyszłości, jeśli się o nich wie. Przyszłość nie jest ostateczna, przeznaczenie można zmienić.

Czy Pani mówi o wszystkim, co wyczyta?
– Są takie rzeczy, że my widzimy, ale jak są złe, nie powiemy. Chociaż o śmierci od razu bym powiedziała, jakby się miała w najbliższym czasie wydarzyć.
Bo przychodzi nieraz śmierć tragiczna, jak do mojego syna. Zginął w wypadku. Pojechał kupić samochód. Czułam, że coś jest nie tak. Mówiłam mu: „Nie jedź, coś się stanie", ale on odpowiedział, jak to zwykle dzieci odpowiadają: „Mama przesadza".
I pojechał, i zginął. To dzieci powinny matkę chować. Miał tylko 36 lat. Wielkim artystą był. Śpiewał, tańczył. Samych synów miałam, raz bliźnięta. On był z tych bliźniąt. Wiedziałam, że nie powinien jechać.

Często przychodzą do Pani ludzie po wróżby?
– Trudniej kogoś namówić na wróżenie – technologia i postęp cywilizacji sprawiły, że ludzie nie wierzą we wróżby. No i bieda – nie mają pieniędzy, aby dać wróżce. Wolą coś do jedzenia kupić, niż na wróżby wydawać. Teraz upał, to mniej wróżę, tylko stałym klientkom. Przez telefon, jak dzwonią i pytają.

Czy wróżby pomagają ludziom?
– Wróżby nie mają pomóc. Ja pomóc nikomu nie mogę, mogę tylko powiedzieć, co widzę. Jak coś dobrego, to powiem, ale jak złe, to nie. Zdarza się, że widzi się przeszłość osoby.

Czy można się utrzymać z wróżenia?
– W Anglii tak, rodzina wróży w Anglii. Córka w budce wróży. A w Polsce trudno, bieda.

Co sądzi Pani o wróżkach w telewizji?
– To oszustki! One mają złe moce, to nie są dobre wróżby. My się tego boimy, tych wizerunków śmierci na wielkich kartach. One robią to tylko dla pieniędzy.

Może Pani rzucić klątwę?
– My się boimy klątw. To Rosjanki głównie rzucają klątwy, ale nie wiemy, czy to działa, czy nie.

O co najczęściej pytają ludzie, którzy przychodzą po wróżby?
– Ludzie rzadko dają sobie powróżyć. Prędzej biedny da sobie powróżyć niż bogaty. Bogaci ściskają portfel w rękach. Biedny zapyta o zdrowie, o rodzinę. Bogaty – czy będzie miał więcej. Czasem jak taki ma żonę i kochankę, to chce wiedzieć, którą wybrać. Ja im zawsze odpowiadam, że żonę to ma się na całe życie, do żony zawsze musi wrócić, a z kochanką to tylko na chwilę można się rozerwać.

Czy jest Pani osobą wierzącą?
– Bardzo wierzę w Jezusa. Jestem katoliczką.

Jak Kościół patrzy na wróżenie?
– Kościół bardzo potępia wróżby i my łamiemy te prawa. Jezusowi i jego Ojcu to się nie podoba. Wróżenie to jest satanizm. Ja co wieczór padam na kolana i się modlę. Modlę się, aby mi wybaczyli. A on mi mówi, że mi wybaczy, jak przestanę to robić. A ja nie przestanę, bo przecież z tego żyję. Liczę, że zostanie nam to wybaczone. Zobaczymy, jak umrzemy... A przeżyłam śmierć kliniczną, to wiem.

Opowie Pani o tym?
– Miałam śmierć kliniczną na stole operacyjnym. Serce mi przestało bić. Przyszli po mnie – jest pięknie. Leciałam przez tunel jak w zwolnionym tempie, a anioły go oświetlały. Wyleciałam i stanęłam na murku. A dalej była wielka brama, za nią zielona trawa – nigdy nie widziałam takiej zieleni. Stał tam też wielki stół, wokół niego siedziała moja rodzina: matka, ojciec, zmarłe dziecko. Wszyscy! Byli bardzo wyraźni, ale nikt

mnie nie wołał. Tylko mój brat wyciągnął ręce, jakby chciał powiedzieć: „Chodź do nas”. A rodzice zza niego kręcili głowami.
Już chciałam do nich iść, ale przypomniałam sobie o dzieciach. I powiedziałam do brata: „A co z moimi dziećmi? Potrzebują mnie!”. On się strasznie zdenerwował, bo to straszny nerwus był. Zaczął krzyczeć, że z nimi będzie mi lepiej, ale wtem pojawiła się postać. Zrobiło się tak ciepło i dobrze. Już wiedziałam, że to Jezus. I on do mnie mówi: „Słuchaj, ty jeszcze nie masz do nas iść, ty jeszcze misji na ziemi nie wykonałaś”. Taką miłość do niego poczułam. Wiem, że moją misją było pochowanie syna, ale nie mam tego Jezusowi za złe. Chciałam go przytulić – już robiłam krok, ale on mnie powstrzymał. Kazał mi zawrócić. I zawróciłam.
Widziałam z góry, jak mnie operują. Lekarz złapał się za głowę i mówi: „O Boże! Ona przestała żyć!”. A siostrzyczka: „Ona ożywa!”. Lekarz: „Pani Basiu, proszę odciągnąć jej flegmę, ona się dusi!”. I siostrzyczka wzięła taką szklaną rurkę, która jej upadła i się zbiła. Pielęgniarka padła na podłogę i zaczęła zbierać to szkło, a lekarz krzyczał: „Ratują ją! Nie to szkło! Ratuj ją!”. I uderzał dłońmi w kolana. To było ostatnie, co pamiętam. Później, jak byłam na oddziale, wszyscy przyszli. A ja zapytałam teściową, co się stało. I wtedy od niej dowiedziałam się, że przeżyłam śmierć kliniczną. Przyszli lekarze z wielką księgą, chcieli, abym opowiedziała, co widziałam, ale byłam zbyt zmęczona. Wrócili parę dni później. Wtedy im opowiedziałam, a oni zapisali mnie w tej księdze. Pewnie więcej takich śmierci mają, ale byłam drugą Cyganką w krótkim czasie. To ich musiało zdziwić. Jakiś czas przede mną szesnastoletnia Cyganeczka też przeżyła śmierć kliniczną.

Wierzyła Pani wcześniej w śmierć kliniczną?
– Nie, nie wierzyłam. Dopiero jak się na własnej skórze przekonałam i Jezusa zobaczyłam, to uwierzyłam. Mam taką misję, że muszę wróżyć, i że śmierć musiałam przeżyć. Wychowałam dzieci. Opiekuję się krewnymi, pomagam im. Wszystko zależy od Jezusa i od jego Ojca.

Czy wróżka jest ważna w społeczności Romów?
– Tak, bardzo. Na przykład Papusza była bardzo ważna. Niektórzy jej nienawidzą, bo sprzedała nasz język, ale była ważna.

Romowie są bardzo rodzinni, prawda?
– Jak zachoruje ktoś z rodziny, to my zaraz do niego jedziemy. Jak nie ma na leki, to my się składamy. Jedziemy do szpitala całymi chmarami. Ta rodzinność nigdy w nas nie zaginie. Jak gotuję obiad, a wiem, że ktoś inny nic nie ma, to wkładam więcej do garnuszka i brat idzie zanieść. Jeśli ktoś umrze i nie mają na trumnę, też się składamy. Jesteśmy bardzo solidarni.

Nie boicie się, że tradycja zaginie, skoro wróżek jest coraz mniej?
– Tradycja nie zaginie. Tylko nasze tabory przeminęły. Bardzo za nimi tęsknię. Tabory to było moje piękne życie. Teraz jeździmy samochodami. Tylko czekam, żeby ktoś powiedział, by się spakować i wyjechać z taborem – byłabym tam pierwsza.
Przeważnie jeździliśmy tam, gdzie były rzeki, jeziora... I w tych rzekach się kąpaliśmy. A te tańce! Te wieczorne śpiewy! Cyganki chodziły do wioski i wróżyły. Jedliśmy naturalnie, bez chemii. Czasem gdzieś się ziemniaczki wykopało. Czasami mama kurę wzięła, jeśli gdzieś było za dużo. I do domu z nią, i rosół był taki pyszny! Teraz już nie ma tego smaku, chociaż czasami szukam go w pomidorach albo truskawkach, ale to już nie to samo. Sama chemia, a i przez to tyle chorób. Osiedlili nas i zaczęliśmy chorować – na serce, na płuca. Sama mam cukrzycę i przeżyłam operację serca. W taborach mniej się chorowało.

Tekst powstał w ramach interkulturowych warsztatów dla młodzieży, Teatr Polski Bydgoszcz, sierpień 2015

Płyta „Me givau” jest wynikiem pracy artystów z Polski i Słowacji w ramach projektu Stowarzyszenia Romów w Polsce „Polsko-słowackie warsztaty w muzyce bez granic”. Józef Jochymczyk - Merstein oraz Ján Berky - Mrenica Jr. – niezwykły mariaż muzyki polskich i słowackich Romów oraz Sinti Jazz. Dziewięć tradycyjnych romskich kompozycji w nowych, ciekawych aranżacjach i dwa popularne utwory mainstreamu: „Piosenka o mojej Warszawie” oraz „Powiedz że mi moja miła”. Zapraszamy do słuchania!

No, Cygany, koniec z wami

Kiedy odezwałem się w obronie Romów, którym zgotowano kolejne udręki, urzędnik postraszył,m że milicja mną też się zajmie

Lech Mróz

Lech Mróz, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, cyganolog. Prowadził badania w Bieszczadach, Mongolii, wśród koczowników w Indiach i w Czarnogórze oraz na Bałkanach.

Wiosennym dniem roku 1964 siedziałem w kuchni wiejskiego domostwa, odnajmowanego od miejscowego gospodarza przez romską rodzinę. Dzieci nie było, cała dziewiątka gdzieś się rozpierzchła, w domu zostali tylko rodzice. Rozmawialiśmy o cygańskim życiu (nie używali w ogóle w tym czasie określenia „Romowie"), o dylemacie, wobec którego stoją - czy znowu wyruszyć na wędrówkę, czy osiąść i posłać dzieci do szkoły. Ich krewni zatrzymali się na zimowy postój w tej samej lub sąsiednich wioskach na Podlasiu; lecz także w tamtych rodzinach zastanawiano się nad dalszym życiem. Choć jeszcze nie było urzędowego zakazu wędrowania, na różne sposoby zniechęcano do koczowania. Szczególnie uciążliwe były najścia milicji, zastraszenia, kontrole, mandaty, a i miejscowa ludność nierzadko była wrogo nastawiona.

Przed domem zatrzymał się samochód; nawet tego nie zauważyliśmy, gdy bez pukania wszedł jakiś mężczyzna. Jak się okazało, urzędnik z Gminnej Rady Narodowej. „No, Cygany, koniec z wami" – odezwał się zamiast przywitania. „Panie, co to będzie teraz, dlaczego, co z nami będzie?" – ze strachem w głosie zapytała kobieta, a jej mąż ponuro milczał. Ta rodzina pamiętała jeszcze czasy wojny i prześladowania, głód i strach, które towarzyszyły im przez cały tamten czas. Urzędnik zapowiedział przyjazd milicji. Przyjadą i zgodnie z decyzją Sejmu i władz państwowych zabraniających wędrownego życia spiszą całą rodzinę i zameldują na stałe w tej wsi.

To, że nie mieli własnego domostwa, że w bliższym i dalszym sąsiedztwie przebywali krewni, że nie mają tutaj pracy, bo na utrzymanie zarabiali w drodze, wędrując własnym wozem, nie interesowało urzędnika. Zaś w sprawie mieszkania mają się zwrócić do lokalnych władz.

Kiedy odezwałem się w obronie tych, którym zgotowano kolejne udręki i niepewność, urzędnik postraszył, że milicja zajmie się i mną, bo nie wiadomo kim jestem, co tu robię, czy nie buntuję Cyganów przeciwko władzom.

Potem w rozmowach z moimi romskimi znajomymi wielokrotnie powracał ten dzień i ten czas wymuszonego osiedlenia. Aktywność lokalnych władz i aparatu represji przybierała rozmaite formy i nasilenie. Niekiedy tylko ścigano nieposłusznych lub też przepędzano na teren sąsiedniego powiatu, by móc zaraportować władzom zwierzchnim, że na terenie lokalnej jednostki administracyjnej „Cyganów nie ma". Niekiedy rekwirowano wozy (stąd w pewnych okolicach na działkach rekreacyjnych pracowników milicji stało sporo altanek zrobionych z cygańskich wozów; tak było w okolicach Poznania i na Podlasiu, a zapewne i w innych miejscach), a czasami także konie, płacąc za nie jak za zwierzęta rzeźne.

Drażnił władze niekontrolowany sposób życia wędrowców, ich swoboda, omijanie administracyjnych powinności. Ideologicznie akcja podbudowana była sloganem, że cygańskie życie jest anachronizmem w społeczeństwie socjalistycznym, że dla ich dobra należy zabronić wędrowania. Nad szkodami społecznymi i kulturowymi, nad ceną tego wymuszonego osiedlania władze nie zastanawiały się.

Mijały lata i życie wędrowców faktycznie zmieniało się. Jeszcze niektórzy przemieszczali się wozami mieszkalnymi, częściej zwykłymi chłopskimi wozami, potem samochodami i koleją. Rozbijali obozowiska, próbując choć w tej postaci kontynuować dawne życie. Z czasem stali się ludźmi osiadłymi, ale inaczej niż Romowie z gór, którzy od pokoleń zamieszkiwali wioski Podhala, Spisza, Orawy, Beskidów. Fotografie, które tutaj pokazuję, są niewielkim wyborem dokumentacji, jaką wykonałem w czasie od decyzji sejmowej o przymusie osiedlenia do lat 80., kiedy wędrowanie było już tylko odległym wspomnieniem.

Wprowadzenie

Cygańskie rodziny były z reguły wielodzietne; tutaj przed domostwem w Beskidach, początek. XX w.

Najbardziej ceniony wśród cygańskich klientów był warsztat wyrabiający wozy w Ostrowie Wielkopolskim; początek lat 50. XX w.

Mimo rozmaitych utrudnień wędrujący taborami Cyganie byli częstym widokiem aż do połowy lat 60. XX w.

Cyganie karpaccy

W osadzie cygańskiej w Czarnej Górze na Spiszu.

Kowal z Szaflar – jeden z niewielu, jacy jeszcze niedawno zajmowali się tą profesją.

Niektóre cygańskie domostwa w Gorcach i Beskidach wybudowali sami mieszkańcy.

Mieszkanka cygańskiej osady w Czarnym Dunajcu. Jedna z niewielu Cyganów, którzy przeżyli Auschwitz.

Ślub w Czarnej Górze.

Nieformalna część weselnej uroczystości
w Czarnej Górze.

Wymuszone osiedlenie

Obozowisko w Sporyszu
na Żywiecczyźnie – Polska Roma.

Wóz, jakim wędrowano
przed wojną,
i jego mieszkanka.

Porzucony wóz
na krakowskich błoniach
– Polska Roma.

Kilka rodzin znalazło miejsce do życia na Podgórzu w Krakowie, ale wóz nadal jest zamieszkany – Kełderasze.

Wnętrze wozu z Podgórza – Kełderasze.

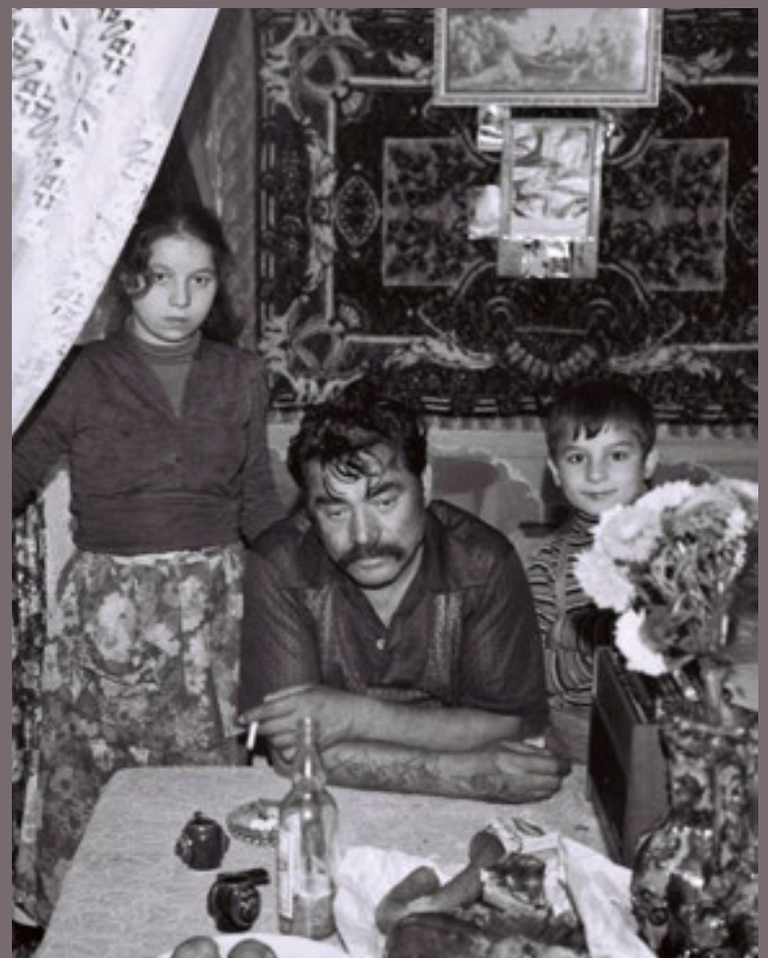

Mieszkańcy baraków na peryferiach Krakowa; namiot w głębi jest już tylko symbolicznym wspomnieniem dawnego życia.

Mieszkańcy baraku w Siemiatyczach – Chaładytka Roma.

Sceny z życia codziennego.
Obozowisko w Burakowie
pod Warszawą
– Polska Roma.

Wędrowanie bez wozów

Zwierzchnik grupy wiąże ręce młodych – od tej chwili uznawani są za małżeństwo. Obozowisko w chaszczach niedaleko Portu Praskiego w Warszawie - Polska Roma.

Uczta weselna – kobiety także siedzą osobno. Obozowisko w chaszczach niedaleko Portu Praskiego w Warszawie –Polska Roma.

Uczta weselna – mężczyźni siedzą osobno. Obozowisko w chaszczach niedaleko Portu Praskiego w Warszawie – Polska Roma.

Przygotowania do wyjścia
na zarobek do miasta.
Obozowisko w Burakowie
pod Warszawą – Polska Roma.

Sceny z życia codziennego.
Obozowisko pod Wieliczką – Polska Roma.

Oswajanie z osiadłością

Sprawdzanie chodu konia.
Czarna Białostocka – Chaładytka Roma.

Chrzciny, Wieliczka
– Polska Roma.

Zwierzchnik Kełderaszy z południa Polski z siostrą przybyłą z Los Angeles. Peryferie Krakowa.

Zwierzchnik Kełderaszy z południa Polski z żoną.
Peryferie Krakowa.

Rzeźbiona deska znad
przedniego okienka wozu,
teraz już tylko ozdoba
przydomowej komórki
– Lowarzy, Międzyrzec Podlaski.

Nowa profesja – handel
starymi meblami
– Polska Roma, Warszawa.

Spotkanie z okazji
Wszystkich Świętych.
Cmentarz na peryferiach
Krakowa – Polska Roma.

Wóz stojący obok domu jest już tylko wspomnieniem wędrownego życia Struga pod Warszawą .

Romane Thana. Miejsca Romów i Sinti

Wien Museum, 12 lutego – 17 maja 2015

Przestrzeń wpisana w ciało

„Romane Thana. Miejsca Romów i Sinti” w Wien Museum

Rzadko możemy oglądać wystawy o tak dobrze wyważonym balansie między naukową wiedzą, interwencjami artystycznymi i wygenerowaną dyskusją wokół problemów marginalizowanej przez lata mniejszości, które niezbyt często wybrzmiewały w przestrzeni publicznej debaty, ewentualnie funkcjonowały w ramach i rolach wyznaczonych, czy też może raczej narzuconych przez oficjalne dyskursy władzy. Wystawa „Romane Thana. Miejsca Romów i Sinti” w wiedeńskim muzeum poświęcona była miejscom w kraju związkowym Burgenland, w których żyli i żyją do dzisiaj. Są tam osady romskie w Burgenlandzie założone już w XVIII wieku, tradycyjnie zasiedlane przez nich rejony Wiednia, ale również te miejsca, które przywodzą na myśl długą historię prześladowań i nazistowskiego ludobójstwa. Burgenland to wąski pas Austrii graniczący ze Słowacją, Węgrami i Słowenią. Ze względu na skomplikowaną historię tego miejsca, kolejno zamieszkiwanego przez Niemców, Węgrów, Chorwatów, ma ono najwyższy odsetek mniejszości narodowych w Austrii.

Narracja zaczyna się w dobie reform Marii Teresy i Józefa II. Ten okres wyznacza ambiwalencję władzy wobec Cyganów. Tak jak zniesiono osobiste poddaństwo chłopów, tak samo wyzwolono Romów i Sinti z - nienazywanego tak wprost - niewolnictwa. Z drugiej strony ich wolność była w pewien sposób iluzoryczna. Reformatorzy postanowili bowiem wykorzystać także tę społeczność do budowania ekonomicznej i militarnej potęgi cesarskiej Austrii. Aby tego dokonać, zastosowali przemocową strategię asymilacji.

Romom zabroniono podróżować, przemieszczać się taborami, a nawet posiadać wozów. Nie wolno było używać romskiego języka. Dzieci często odbierane były rodzicom i przekazywane organizacjom religijnym lub „prawym” rodzinom na wychowanie. Paradoksalnie stało się to przyczyną powstania pierwszej monografii na temat tego ludu. Jej autorem był Samuel Augustini (1729-1792): teolog, matematyk, geolog, mineralog, botanik i historyk. Postawił on interesującą tezę, że w wyniku reform Marii Teresy Cyganie przestaną istnieć jako odrębna grupa. Zgromadził obszerny materiał badawczy, zawarty w 39 tomach, po raz pierwszy wskazujący na indyjskie pochodzenie Romów. Materiał ten został później zawłaszczony i wykorzystany przez niemieckiego uczonego Heinricha Moritza Gottlieba Grellmanna, który przez niemal dwa stulecia uchodził za twórcę tezy o indyjskim pochodzeniu Cyganów, a jego rozprawa stanowiła źródło późniejszych opracowań i badań kolejnych pokoleń cyganologów.

Duża część wystawy obnażała związki nauki z przemocową polityką wobec Romów i Sinti. Pozornie część prac pokazuje inną perspektywę spojrzenia na Romów i Sinti, która pojawiła się wraz z XIX-wiecznym egzotyzmem, przynosząc stereotypowe przedstawienia ich rzekomo nieskrępowanego stylu życia, atrakcyjności erotycznej i muzykalności. Jednak tak naprawdę wykazuje związek sentymentalnych i romantycznych scenek rodzajowych z popularną później fotografią egzotycznych „typów ludzkich”. Stylizowane fotografie „typów cygańskich,” powielane masowo na kartach pocztowych w Pradze, Budapeszcie czy Wiedniu, ugruntowały stereotypy na temat „nomadów Europy”. W czasie pierwszej wojny światowej wiedeński antropolog Viktor Lebzelter sfotografował 41 typów cygańskich (były to osoby uwięzione w obozie w Dąbiu koło Krakowa). Także późniejsza fotografia policyjna opierała się na współpracy z antropologami i badaniami nad rasą.

Model Raula Hilberga opisuje mechanizm Zagłady. Grupa zostaje zdefiniowana w sposób odwołujący się do niezmiennych czynników, od których nie ma ucieczki, następnie jej członkowie zostają zarejestrowani przy użyciu aparatu biurokratycznego i naukowego, po czym są odizolowani od innych poprzez: przepisy prawne, następnie zaś w sposób fizyczny przez umieszczenie w obozach. Towarzyszy temu wywłaszczenie i eksploatacja – np. roboty przymusowe – a wreszcie eksterminacja.

W Austrii w latach 30. żyło około 11 tysięcy Romów i Sinti. Zdecydowana większość w Burgenlandzie, gdzie w niektórych okręgach stanowili 25-30 proc. populacji. Ich prześladowania rozpoczęły się w 1938 roku i były niezwykle brutalne, głównie za sprawą silnych wpływów narodowego socjalizmu w Austrii w ogóle, a w Burgenlandzie w szczególności. Władze administracyjne tego kraju nie kopiowały niemieckich regulacji prawnych, lecz bardzo często wyprzedzały je w postępowaniu z Cyganami. W połowie 1939 roku dysponowały kartami identyfikacyjnymi około 8 tysięcy Cyganów.

Tragicznym elementem wojennych dziejów Burgenlandu jest los tamtejszych Romów i Sinti. W 1939 roku deportowano 3000 osób do obozów koncentracyjnych w Dachau i Ravensbrück. W pierwszej połowie listopada 1941 roku ok. 5000 osób Niemcy wywieźli do łódzkiego getta, gdzie został dla nich utworzony obóz (Zigeunerlager in Litzmannstadt). W dniach 4-12 stycznia 1942 roku pozostałych przy życiu 4300 więźniów obozu cygańskiego wywieziono i zamordowano w tworzonym miejscu zagłady łódzkich Żydów w Chełmie nad Nerem (Kulmhof an Nehr).

Także w Austrii tworzono romskie obozy internowania i obozy pracy; najbardziej znanym był Lackenbach. W wyniku rozkazu Himmlera z 16 grudnia 1942 roku odchodziły z nich transporty do Auschwitz-Birkenau. Spowodowało to zamknięcie niektórych obozów, np. Maxglan, które w całości zostały skierowane do Auschwitz.

Szacuje się, że około 90 proc. austriackich Romów i Sinti straciło życie w obozach koncentracyjnych i obozach śmierci w czasach nazistowskich, przy czynnym udziale władz lokalnych. Kiedy nieliczni, którzy przetrwali,

wrócili do domu, okazało się, że osady zlikwidowano, a sama ich obecność na nowo wzbudziła uprzedzenia rasowe. W wielu przypadkach oficjalne uznanie Romów i Sinti za ofiary nazizmu nastąpiło zbyt późno, do czego przyczyniła się dyskryminacja widoczna zarówno w przepisach prawnych, jak i w postępowaniu rządzących. Na ironię zakrawa fakt, że ten akurat fragment historii Romów i Sinti jest doskonale udokumentowany właśnie ze względu na ścisły nadzór ze strony rządzących i administracji. Teksty prawne, fotografie wykonywane przez oficerów Gestapo, dane antropometryczne zbierane w celu zachowania „higieny rasowej" nazistów oraz cyniczne odrzucanie podań o zasiłki należne ofiarom przez władze powojennej Austrii tworzą pokaźny zbiór dowodów.
Samoorganizacja stała się w latach 80. XX wieku ważną kwestią dla społeczności Romów i Sinti, co doprowadziło do uznania ich za grupę etniczną w 1993 roku. Również w tych latach nasiliła się pamięć o nazistowskiej Zagładzie Romów i Sinti; wtedy też ogromna część społeczeństwa austriackiego po raz pierwszy o nich usłyszała. Mimo wzrastającej pewności siebie, a może ze względu na nią, społeczność Romów i Sinti stała się celem ataku terrorystycznego na tle rasowym - 4 lutego 1995 roku czterech mężczyzn z romskiego osiedla w Oberwarcie zginęło w wyniku zamachu. Wystawę zamykały wątki dotyczące współczesności: fala emigracji po otwarciu granic UE czy działalność romskich stowarzyszeń.
Kuratorom udało się uniknąć powielania stereotypów, tonu mentorskiego i tonu szkolnego wykładu przede wszystkim dzięki przywołaniu niezwykle poruszających prac kilkunastu artystów romskich.
Ceija i Karl Stojkowie, rodzeństwo, twórcy prac literackich i wizualnych, przecierali szlaki i odcisnęli piętno na ruchu samoorganizacyjnym, ale przede wszystkim głośno mówili o romskiej Zagładzie. Stojkowie przeżyli obozy Auschwitz, Ravensbrück, Buchenwald, Flossenbürg i Bergen-Belsen. Jako Ocaleni upominali się o godność ofiar. „Twórczość Ceiji Stojki to więcej niż zbiór obrazów. To możliwość zapamiętania jej i jej historii z godnością, na festiwalach, wystawach, wernisażach. Te rytuały mają symboliczną rolę – wzmacniają tożsamość i więzi kulturowe pomiędzy społecznością romską. To odpowiedź na brak istniejącej infrastruktury i instytucji takich jak system edukacji, centra kultury, reprezentacja polityczna etc. Ten proces konstruowania poprzez zbiór działań, wykonywanych głównie ze względu na ich wartość symboliczną, został dobrze zanalizowany przez Davida McCrone'a, który opisuje, jak te działania wzmagają poczucie transpokoleniowej ciągłości, wspólnych wspomnień i wspólnego przeznaczenia.Wystawy Karla i Ceiji Stojków były z pewnością jednymi z pierwszych takich działań od lat 90., mających na celu upamiętnianie romskiego Holokaustu i angażujących Romów w całej Europie". Prace pokazane na wystawie, kolorowe i sentymentalne, kontrastowały z czarno-białymi, pełnymi okrucieństwa obrazami obozów. Szkice ze zredukowaną paletą barw sprawiają wrażenie okaleczonych. W jednej z prac Ceija zdjęcia kartotekowe Romów (w tym własne: małej dziewczynki) otoczyła kolorową ramą. Na pierwszy rzut oka jednak nie wiadomo, czy te osoby zostały uświęcone, czy pochłania je płomień.
Ceija Stojka stała się wręcz żywym symbolem walki o pamięć. Nie tylko ze względu na nieugiętą postawę. Po prostu była pierwszą Romką, która opowiedziała o przebytej traumie. Tym samym łamała zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne ograniczenia. Jej autobiografia pt. „Wir leben im Verborgenen. Erinnerungen einer Rom-Zigeunerin" została opublikowana w 1988 roku.

Monika Weychert-Waluszko,
kuratorka sztuki.
Prowadziła w Toruniu m.in. niezależną Galerię dla… Związana była z warszawską Galerią Foksal i Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni. Kuratorka wystaw, m.in. „Patriotyzm jutra", Instytut Sztuki Wyspa, Gdańsk, 2006, „Lucim żyje!", CSW Znaki Czasu, Toruń, 2009, „Domy srebrne jak namioty", Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa 2013 / Muzeum Współczesne Wrocław 2014. Dyrektorka jedynego w Polsce cyklicznego festiwalu sztuki internetu Wyobraźnia Ekranu (2003-2005). We współpracy z Piotrem Stasiowskim zorganizowała konferencję młodych galerii niezależnych Undead Gallery. Inicjatorka programu edukacyjnego o sztuce współczesnej pleple.tv. Wieloletnia współpracowniczka TVP Kultura. Redaktorka książek. Członkini sekcji polskiej AICA.

W cieniu Ceiji pozostaje brat i wierny towarzysz, którego prace również zasługują na uwagę. Po drugiej wojnie światowej Karl Stojka został biznesmenem w Austrii. W wolnym czasie zaczął malować Auschwitz, Buchenwald i Flossenbürg. Był aktywnym członkiem Ruchu Praw Romów; walczył o równe prawa dla europejskich Romów, uznanie ich jako mniejszości etnicznej oraz odszkodowania dla ocalałych z Holokaustu.
Uwagę przykuwał olbrzymi autoportret. Mały chłopiec – trochę jak szkielet – o bardzo smutnej twarzy siedzi na niskiej pryczy i ramionami obejmuje nogi. Na lewej ręce ma wytatuowany numer: Z 5742. Podpis: „Karl Stojka/ 11 lat / w Auschwitz Birkenau".

To właśnie Ceija Stojka napisała:
Kiedy się stamtąd wydostaliśmy, byliśmy chorzy, zupełnie chorzy! Nasze serca były zranione; nasze głowy, nasze dusze były chore […] Ci wszyscy ludzie powinni być leczeni. Nie powinni mieć dzieci przez 5, 6 lat – ta garstka, która się stamtąd wydostała – dopóki nie mieliby wystarczająco dużo siły, nie byli znowu zdrowi, nie mogli się znowu śmiać i zauważać, że świat nie jest taki zły […] I ten strach, zawsze strach. Dzieci z nim dorastały. Dlatego do dziś obracają się za siebie, jak idą ulicą. Rozumiesz? Obracają się. Tylko ten, kto się boi, ciągle spogląda przez ramię! Ktoś, kto wychodzi z obozu, czyja głowa boli i dusza krwawi za ojcem, siostrą, bratem, którym się nie udało, może mieć tylko dzieci z poranionymi duszami. Przychodzą na świat, widzisz, jak są słodkie, jak piękne. Wychowujesz je i dbasz o nie; całujesz je i kochasz. Dorastają. Ale ten strach, który był w tobie, płynie do dzieci razem z mlekiem ich matek.

Los Ocalonego wcale bowiem nie jest przyjmowany jako przysłowiowe „szczęście w nieszczęściu". Dla wielu osób poczucie straty, wyobcowanie, brak możliwości zracjonalizowania sytuacji, w której się znaleźli, a wreszcie poczucie winy względem tych, którzy zginęli, jest nie do uniesienia. Codzienność wcale nie leczy ran, a czasem nawet zbyt często je otwiera. Osoby, które przetrwały Holokaust, miały trudności w tworzeniu ciepłego, wspierającego stosunku do swoich dzieci i były przez nie często postrzegane jako ludzie niedostępni i chłodni. O tym traktuje dojmująca praca Lilly Habelsberger „Der Rock meiner Mutter". Matka Lilly Habelsberger, Katharina K., była prześladowana jako „Cyganka" w okresie narodowego socjalizmu i przeżyła kilka obozów koncentracyjnych; jej pierwsze dziecko i liczni członkowie rodziny zostali zamordowani przez nazistów. Lilly używa każdego narzędzia, by dotknąć tajemnicy matki: maluje ją, pisze o niej wiersze, wystawia na widok publiczny prywatne albumy. Przywodzi to na myśl działania Mindy Weisel. Artystka ta podkreślała znaczenie matriarchalnych genealogii w procesie przekazywania pamięci pomiędzy pokoleniami za pomocą wcielenia się w niebieski kolor swojej matki, czy też poprzez wypowiedzi w książce innych „córek pustki". Nie tworzyła ona jednak teorii dotyczącej genderowych wymiarów opisywanych więzi między kobietami dwóch pokoleń. Bracha Ettinger natomiast sytuuje swoją sztukę bardzo konkretnie w kategoriach feministycznych, określając ją jako malarstwo „macierzyste", którego celem jest zakwestionowanie patriarchalnej

dominacji w obrębie zarówno sztuki, jak i przekazywania pamięci. Prace tych trzech artystek ujawniają podobieństwa dyskursu artystek Żydówek i artystek Romek drugiego pokolenia Zagłady. Jednak praca „Der Rock meiner Mutter" ma - wydaje się - jeszcze bardziej bolesny wymiar. Artystka romska musi oddalić się emocjonalnie, aby zbudować własną tożsamość, ponieważ ból i pustka, jaka pochłania jej matkę, jest nie do objęcia rozumem człowieka, który nie był ofiarą Zagłady.

Przez kilka dziesiątków lat byłam uwięziona w skamieniałym świecie uczuć mojej matki. Nie wiedziałam, czym powinno być moje życie. Dzisiaj w wieku 63 lat patrząc wstecz stwierdzam, że moje dzieje przypominają baśń. Moja matka jako mój „ciemiężca i nauczyciel". Kierowała mną potrzeba swobody, a ona dostarczała mi w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa „materiału" do wyrwania się stamtąd. Dała mi siłę odczarowania się. Wolność była moim drogowskazem. Matka i jej kultura stanowiły drogę, którą musiałam wędrować. Od początku stylizowałam ją na postać z baśni. Był to rodzaj obrony przed wszystkimi traumami, które mnie spotykały.
Dzieci wybierają sobie ulubioną przytulankę albo kocyk jako obiekt pomocny w przejściu, a mój wybór padł na spódnicę mojej matki. A ponieważ ona w niej tkwiła, miałam ją zawsze przy sobie. W ten sposób jej ręce mogły dla nas pracować i nas chronić. „Jeśli moja matka umrze, umrę i ja", tak często myślałam. Każde oddalenie się matki odczuwałam jako zagrożenie własnego życia. „Spódnica mojej matki była moim namiotem z gwiazd", pisałam w wierszu. „Czepiałam się jej, była moim bezpiecznym miejscem, moim ratunkiem. Domem, dachem, ochroną, moim niebem. Zbierałam gwiazdę po gwieździe".
Prawdziwych gwiazd pod nią nie było, ale to zauważyłam dopiero o wiele później, bo „chciałam jakieś znaleźć. Ściana z mgły, zatracić się w kłamstwach, które nazywacie obyczajem. Bez sprzeciwu, nawet jeśli w sercu pożar. Słońce nigdy nie wschodzi. Bez orientacji, bez własnego życia, nigdy na nic się nie odważyłam. Nigdy nie miałam nawet własnego schowka. Nigdy nie mogłam się przekonać, kim jestem".

Matka na obrazach przeważnie obrócona jest tyłem do małej Lilly, która stara się trzymać jej spódnicę. Spódnicę, pod którą – jak wydaje się dziecku – matka trzyma rozgwieżdżone niebo. Na jednym z obrazów matka wpatruje się w złowrogi czerwono-granatowy krajobraz. Ale my nie widzimy jej twarzy – nie jesteśmy w stanie rozpoznać emocji, która temu towarzyszy. Tak jak nie może tego zrobić zagubiona we własnych i matczynych reakcjach mała Lilly Habelsberger. Nawet teraz, kiedy jest już dorosłą kobietą...
Kolor niebieski posiada szczególną symbolikę w judaizmie. Symbolizuje powietrze, niebo. Ten kolor pojawia się często w obrazach Holokaustu. Wystawę zamykała niesamowita praca młodego artysty pochodzącego ze Słowacji, obecnie mieszkającego w Wiedniu, Roberta Gabrisa – seria pod tytułem „Das Balue Herz". Prezentowane w muzeum miedzioryty pokazywały historię cygańskiej wioski na Słowacji. Jej mieszkańcy spędzili wiele lat w więzieniu, a opowieści o własnym życiu kazali sobie wytatuować na ciele. Pozwolili sfotografować artyście to rysowane archiwum, przeszłość wyrytą niebieskim tuszem. Mniejszość romska często postrzegana jest w sposób negatywny ze względu na biedę, bezrobocie itp. Ludzie ci bez

przerwy borykają z problemami egzystencjalnymi oraz niesprawiedliwością. W wyniku takich uwarunkowań społecznych wielu z nich popada w konflikt z prawem i spędza długie lata w więzieniu. Tak było też z ojcem artysty. Przypadła mu tam ważna rola do odegrania – był tatuażystą. To też pozwala myśleć o okolicznościach, jakie warunkują czyjś los. Ojciec i syn przecież posiadają ten sam talent: umiejętność rysunku, czy też odtwarzania rzeczywistości. Jednak zewnętrzne okoliczności zupełnie inaczej sytuują ich talent. Miedzioryty ukazują moment, w którym ów ojciec sam sobie ryje w skórze bolesne wspomnienia o swoich bliskich. Na klatce piersiowej i na uszach umieścił ważne informacje: datę śmierci najstarszej córki oraz fragmenty z listów od najbliższych. Opowiada synowi:

Miejscem mojego życia jest moje ciało. To na nim znajdują się wszystkie rany i obrazy mojej przeszłości. Wyryłem je igłą i niebieskim tuszem głęboko w skórze. Moja rodzina uwieczniona jest na mojej piersi. Dzięki temu, choć opuściłem moją rodzinną miejscowość, jestem w więzieniu razem z tymi, których kocham. Jeśli kiedyś stąd wyjdę, stanę się historią życia. I zabiorę ją ze sobą do grobu.

To jednak mocna i bardzo pesymistyczna puenta całej refleksji. Wciąż jeszcze za mało wiemy o historii Romów. Może nawet sami Romowie zbyt mało o niej wiedzą. Historia jest źródłem argumentów dialogu międzykulturowego. Dlatego jest też bardzo ważnym politycznie elementem kształtowania współczesnych tożsamości romskich. Mit „ludu bez historii", żyjącego gdzieś na marginesie, w swoistej kapsule czasu (gdzie czas się zatrzymał) lub zanurzonego w „wiecznym teraz", był przez lata wykorzystywany przeciwko Romom. Z drugiej strony więzieni oni byli w cudzej narracji historycznej, na której kształtowanie nie mieli wpływu. To Augustini czy Grellmann, a potem „badacze" w typie Evy Justin zbierali materiały, pisali dysertacje, czy wprost przesądzali o losie tysięcy istnień. Czyżbyśmy nadal, niepomni na te doświadczenia, pozwalali odchodzić tej wiedzy „do grobu" z każdym kolejnym Romem, którego żegnamy? Czy też w zdokumentowanej na wystawie historii – od przymusowej asymilacji z czasów Marii Teresy i Józefa II po współczesny, mniej lub bardziej jawny, antycyganizm – wciąż jedynym bezpiecznym miejscem „mojego życia jest moje ciało", jak mówi ojciec Roberta Gabrisa?

Monika Weychert-Waluszko

Romane Thana. Miejsca Romów i Sinti
Wien Museum, 12 lutego – 17 maja 2015
Zespół kuratorski: Andrea Härle (Romano Centro), Cornelia Kogoj (Initiative Minderheiten), Werner Michael Schwarz (Wien Museum), Susanne Winkler (Wien Museum), Michael Weese (Landesmuseum Burgenland)
Wystawa zrealizowana we współpracy z Romano Centro, Inicjatywą Mniejszości (Minorities Initiative) oraz burgenlandzkim Muzeum Regionalnym.

Fot. Wien Museum/Birgit und Peter Kainz

Fot. Wien Museum

To już nie do pomyślenia

Romowie austriaccy też muszą mierzyć się z trudną historią. Również tą najnowszą

Agnieszka Wądołowska-Marczewska

Dziecko w wózku z kartonu na burym blokowisku (Sfântu Gheorghe, Rumunia); wyszczerbione mury domu, kiepsko połatane dachy, miski do mycia na podwórku (Lomnicka, Słowacja); połamany płot, okna pozabijane kawałkami kartonu (Aleksinac, Serbia). To tylko pojedyncze zdjęcia z wystawy „Między mitem a rzeczywistością: Spotkania z Romami" przygotowanej przez austriacki Caritas, która kilka lat temu objechała kraje Europy Wschodniej. Żadnych niespodzianek. Wszystko, nawet rozbawione dzieci, kolorowe stroje czy pstrokate ozdoby na ścianach, jakieś takie bidne. Sporo klisz. Choć sporo i smutnych realiów.

To właśnie takie zdjęcia najczęściej pojawiają się w mediach, o takich miejscach kręci się dokumenty, im poświęca się akcje humanitarne. I nie bez racji, wielu z tych ludzi potrzebuje takiej czy innej pomocy. Tyle że dużo rzadziej trafia się okazja, by przyjrzeć się, jak żyją Romowie, których losy nie mieszczą się w tych uproszczonych wyobrażeniach, a osobiste historie przeczą uprzedzeniom. W Austrii żyje takich Romów i Sinti całkiem sporo – teraz spotkać ich można w Muzeum Wiednia na wystawie „Romane Thana. Miejsca Romów i Sinti". W przyszłym roku wystawa będzie pokazywana w Burgenlandzie – najbardziej wysuniętym na wschód kraju związkowym, gdzie już od XV wieku osiedlali się Romowie.

Wreszcie sami o sobie

Z plakatu wystawy spogląda na wiedeńczyków młoda dziewczyna – rozpuszczone włosy, ręce w kieszeniach, sztruksy, czarna kurtka, luźny sweterek, w tle charakterystyczny wiedeński tramwaj. Zdjęcie zrobił nie żaden etnograf, czy fotograf akcji humanitarnej, a koleżanka z klasy, gdy wracały do domu przez 10. dzielnicę.

Na taką romską codzienność i autokreacje postawili twórcy wystawy. „Przez dziesięciolecia Romowie opisywani byli przez ludzi spoza swojej społeczności. Nie istnieją niemal żadne historyczne świadectwa. Dlatego też tak utrwaliły się stereotypy od romantycznej fascynacji po nasyconą rasizmem pogardę. By je przełamać, potrzebne są opowieści wypływające z samych romskich społeczności, które otwierają nowe perspektywy" – czytamy w katalogu ekspozycji.

I faktycznie - znaczną część wystawy stanowią prywatne historie. Pełno tu rodzinnych fotografii, obrazów, pamiętników, nagrań wywiadów i rozmów. Zorganizowano je w tematyczne stoły, tak by tworzyły intymną, domową wręcz atmosferę.

- Poprosiliśmy przeróżne osoby, by podzieliły się opowieściami związanymi z miejscem, które dla nich stanowi *Romane Thana* – tytułowa romska przestrzeń – opowiada Andrea Härle, przewodnicząca stowarzyszenia Romano Centro, które współtworzyło wystawę.

Zupełnie różne rzeczywistości

Pojawiły się przeróżne interpretacje, czym to „miejsce" może być – raz to było miasto Oberwart i różne sposoby radzenia sobie z traumą spisane przez Stefana Horwata, ojca jednego z mężczyzn, który zginął w tragicznym zamachu na tle rasowym z 1995 roku. Innym razem to szpital i prywatne mieszkania, bo to w takich miejscach najłatwiej dostanie pracę sprzątaczki Romka, która przyjedzie do Austrii. Miejscem takim jest też wiedeński Floridsdorf, gdzie od wieków osiedlali się Sinti i Lowarzy. Pojawiły się też metaforyczne miejsca – jak spódnica matki z obrazów malarki Sinti - Lilly Habelsberger. Dla wielu Austriaków to zupełnie nieznane losy.

Nieznana może być też heterogeniczność romskich grup.

– Zawsze bawi mnie, gdy do naszego stowarzyszenia dzwonią dziennikarze i pytają: „Co w takiej to a takiej sprawie myślą Romowie?". Cóż mogę im powiedzieć? Nikt nie oczekuje, że mieszkańcy Górnej Austrii czy dzielnicy Meidling będą tacy sami. Nie ma najmniejszego sensu na siłę ujednolicać akurat Romów, przecież Lowarzy żyjący w Wiedniu od pokoleń i uchodźcy z byłej Jugosławii żyją w zupełnie nienachodzących na siebie rzeczywistościach – mówi Härle.

Dlatego w przygotowanie ekspozycji zaangażowanych było bardzo wiele różnych osób: kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi. Efekt? Różnorodny wielogłos.

– Współtworząc tę wystawę, sami Romowie i Sinti rozmontowują dotyczące ich uprzedzenia. Najwyższy czas podważyć wyobrażenia, jakie mamy o nich i o ich życiu - mówił na otwarciu Wolfgang Kos, dyrektor Muzeum Wiednia.

Choć w Austrii Romowie nie mierzą się z takimi problemami materialnymi czy socjalnymi jak w innych krajach, szczególnie Europy Wschodniej, i tu wciąż pokutuje przekonanie, że tworzą mafie żebraków, że wykorzystują siebie nawzajem. W Grazu wprowadzono nawet kilka lat temu zakaz żebrania właśnie ze względu na rzekome siatki Romów z Węgier i Słowacji, choć policja przyznaje, że nie ma dowodów ich istnienia.

„Wracajcie do Indii"

Romowie austriaccy muszą też mierzyć się z trudną historią. Również tą najnowszą. Otwarcie wystawy „Romane Thana" zbiegło się ze smutną rocznicą zamachu, do którego doszło w nocy z 4 na 5 lutego 1995 roku w miasteczku Oberwart w Burgenlandzie. Te dwadzieścia lat temu ktoś wymalował na metalowej tablicy napis „Romowie wracajcie do Indii". Gdy Josef Simon, Peter Sarközi, Karl i Erwin Horvathowie próbowali ją zdemontować, wybuchła ukryta za nią bomba. Zabiła wszystkich czterech. Sprawcę zamachu - Franza Fuchsa - ujęto przypadkiem i skazano w 1999 roku (zorganizował serię innych zamachów na imigrantów, uznano go za najgroźniejszego terrorystę II Republiki Austriackiej). Powiesił się w więzieniu.

Zdjęć zabitych i historycznej już tablicy nie mogło zabraknąć na wystawie. Tak jak nie mogło zabraknąć opowieści o przepracowywaniu traumy. Niestety, z wystawy poznamy niewiele konkretów dotyczących samej tragedii, jej dzisiejszego postrzegania czy zmian w życiu miasteczka, jakie zaszły od tamtej pory. A ważnych kwestii tu sporo.
„W żadnym razie nie można powiedzieć, że Austria odpowiednio zareagowała na ten zamach. Zszokowana opinia publiczna nie umiała zająć właściwego stanowiska" – wspominał z żalem felietonista tygodnika opinii „Der Falter" z okazji dwudziestej rocznicy zamachu. Przypominał, jak pierwszym doniesieniom towarzyszyły hipotezy, że to sami Romowie odpowiedzialni są za zamach. W takim tonie wypowiadał się o wydarzeniach z Oberwartu m.in. sam minister spraw wewnętrznych Austrii. Inni politycy stawiali pytania typu: „A skąd właściwie wiemy, że nie chodziło o jakichś handlarzy broni, złodziei aut czy innych dealerów narkotykowych?".
Policja w poszukiwaniu materiałów wybuchowych i broni zaczęła od romskich domów w Oberwarcie. Manuela Horvath wspomina (jej opowieść akurat znajdziemy w katalogu wystawy), że strach przed byciem „obcą" pojawił się właśnie wtedy, gdy przeszukiwano jej dziecięcy pokój. Przedstawiciele rodzących się właśnie romskich organizacji nie mogli uwierzyć w informacje medialne.
– To niemożliwe, przecież nie mamy wrogów. Z nikim nie zadarliśmy – nie mógł pogodzić się z wydarzeniami prof. Rudolf Sarközi, dziś przewodniczący Stowarzyszenia Kulturalnego Romów Austriackich, który w 1993 roku, czyli na dwa lata przed zamachem, doprowadził do oficjalnego uznania przez Austrię praw Romów i Sinti jako mniejszości etnicznej.

Kolejne dziesięciolecia, kolejne zmiany
W końcu państwo stanęło na wysokości zadania. Gdy było już jasne, że doszło do rasistowskiego zamachu, najważniejsi politycy przyjechali na pogrzeb ofiar. Mowę wygłosił prezydent republiki Thomas Klestil. Na Heldenplatzu przed Hofburgiem odbyła się demonstracja, a w głównej sali koncertowej Wiednia impreza solidarności z ofiarami i rodzinami. Teraz co roku w miejscu zamachu odbywają się uroczystości, zabici stali się niemal męczennikami. W tym roku w lutym odbyło się też specjalne upamiętnienie w austriackim parlamencie, połączone z prezentacją książki o zamachu i jego wpływie na zmiany w kraju.
A co się faktycznie zmieniło? Już w 10. rocznicę zamachu w rozmowie z dziennikiem „Der Standard" prof. Sarközi podkreślał, że życie Romów znacznie się polepszyło, ale wciąż konieczna jest poprawa dostępu edukacji, która pozwala Romom wydobyć się ze społecznego marginesu. Narzekał na brak środków na aktywizowanie społeczności i na zbiorowe działania. W tym roku, po upływie kolejnego dziesięciolecia, ponownie w wywiadzie dla „Der Standard", znów chwalił zmiany, zwłaszcza likwidację szkół specjalnych, do których bezzasadnie kierowano Romów. Mówił też o znacznie lepszej samoorganizacji romskiej społeczności.
Nie wszyscy dzielą jego entuzjazm. Tygodnik „Profil" przekonuje, że Romom z Oberwartu wcale nie jest dziś łatwo. Kto mógł, wyjechał, najlepiej do Wiednia, a ci, którzy zostali, dalej muszą liczyć się z niechęcią urzędników czy pracodawców. Echa tego sceptycyzmu słychać też w wypowiedziach szefowej Romano Centro.

Agnieszka Wądołowska-
-Marczewska,
dziennikarka i tłumaczka.
Publikowała m.in.
w „Gazecie Wyborczej",
„Dużym Formacie",
„Dzienniku Opinii"
czy „Midraszu".
Obecnie mieszka w Wiedniu.

- Wszystkie badania pokazują, że Romowie w Austrii są szczególnie dyskryminowani w kwestiach dostępu do edukacji i na rynku pracy – mówi Härle. Ale nikt nie kwestionuje faktu, że sytuacja się poprawia.

Znienawidzone słowo na „Z"
Wystawa podejmuje temat języka nienawiści, pokazując zdjęcia z akcji „Ich bin gegen das Wort Zigeuner" (Sprzeciwiam się używaniu słowa Cygan). Zapoczątkował ją Haris Stojka, kompozytor i gitarzysta jazzowy, umieszczając plakaty z takim napisem na ulicach miasta. Akcja błyskawicznie przeniosła się do mediów społecznościowych, gdzie anonimowi użytkownicy, ale i znane austriackie osobistości publikowali swoje zdjęcia z napisem.
– Nie rozumiem, jak można tolerować słowo *Zigeuner.* Ja go nienawidzę – mówił prasie sam Stojka, przyznając, że od lat marzyła mu się taka akcja.
I wyjaśniał, że ile razy je słyszy, zawsze przypomina mu się tatuaż na lewym przedramieniu jego ojca, którzy należał do ocalonych z Auschwitz-Birkenau. Romom i Sinti nadawano numery więźniarskie z literą „Z" właśnie od niemieckiego *Zigeuner*.
- Nie mogę się temu nadziwić, ale ciągle wracają pytania: „Dlaczego nie należy używać słowa Cygan?". Przyznam, że już nie mam siły tego tłumaczyć. Odpowiadam odwróconym pytaniem: „A dlaczego w ogóle chciałbyś go użyć?" – komentuje akcję Andrea Härle.
Najwięcej jest tego na forach internetowych. Niektóre gazety nie dość szybko reagują, niektóre kasują antyromskie posty, inne nie.
Prof. Sarközi przekonuje jednak, że to nic w porównaniu z powojennymi czasami, w których przyszło mu dorastać. „W szkole w Burgenlandzie nikt nie używał naszych nazwisk. Było nas trzech Sarközich, a wszyscy i tak mówili Cygan Rudi, Cygan Toni i Cygan Alex. Dziś byłoby to nie do pomyślenia" – kwituje profesor.
Tak jak nie do pomyślenia dziś wydaje się powrót bardzo wielu niechlubnych wydarzeń, które pokazuje wstępna, historyczna część wystawy: badania nad rasą, zagłada Romów i Sinti czy izolowanie i dyskryminacja Ocalonych już w powojennych czasach. Dzisiejsze Romane Thana wydają się już zupełnie inne.

Agnieszka Wądołowska-Marczewska

Kolorowych jarmarków Feria

Kilka miesięcy przed rozpoczęciem Ferii de Abril rozpoczynają się przygotowania do tego ogromnego jarmarku

Jadwiga Romanowska

Żadna mieszkanka Sewilli, nie wybierze się na Feria de Abril bez tzw. traje de gitana, czy też traje de flamenca – typowego regionalnego stroju, Sewilla 2010.

Fot. East News

Dla każdego prawdziwego Sewilczyka istnieją dwa „święta obowiązkowe", których obchodzenie wiąże się z lokalną tożsamością grupową. Są to Semana Santa – Wielki Tydzień oraz Feria de Abril. W tym roku udaje mi się, przez kilka dni, towarzyszyć moim sewilskim znajomym w tym drugim wydarzeniu.

Feria de Abril to sześciodniowy festyn, tradycyjnie odbywający się dwa tygodnie po Wielkanocy. Wówczas codzienne życie w mieście niemal całkowicie zamiera: szkoły i uczelnie wyższe, bary i restauracje oraz instytucje publiczne, a nawet sklepy sieciowe, takie jak Zara czy Mango, zostają zamknięte na kilka dni. Wszystko po to, by móc oddać się zabawie, która trwa niemal 24 godziny na dobę na terenie feriowego miasteczka. Zabawa pozwala mieszkańcom Sewilli poczuć się wspólnotą, jako cykliczne święto zakorzenione w tradycji ludowej wpisuje się w sewilski porządek naturalny. Jest dorocznym rytuałem, który utwierdza Sewilczyków w przekonaniu, że kultywowanie tradycji zapewnia ład w ich społeczności. Spotkana przeze mnie na terenie feriowego miasteczka dwudziestoszścioletnia Carmen mówi: „To, że Feria odbywa się każdej wiosny, sprawia, że mogę mieć pewność, że rzeczy mają się tak, jak powinny. Daje mi to poczucie wewnętrznego spokoju, który odnajduję w moim mieście, mojej rodzinie, z moimi ludźmi".

Jak na ironię, najbardziej andaluzyjskie z andaluzyjskich świąt zostało wykreowane nie przez Andaluzyjczyków, lecz przez przedstawicieli innych regionów Hiszpanii: Baska - José Maríę de Ybarrę oraz Katalończyka – Narciso Bonaplatę. Oni właśnie, przy zgodzie sewilskiej rady miejskiej, zorganizowali w 1847 roku targ bydła, na który zjechali się kupcy i hodowcy z całej Andaluzji. Impreza szybko zyskała licznych zwolenników. Podczas Ferii mogli przy suto zastawionych stołach dobijać interesów. Od tej pory każdego roku do Sewilli zjeżdżali się hodowcy bydła i kupcy z całej Andaluzji. Impreza miała zawsze podobny schemat: uczestnicy mogli oglądać wystawy bydła, brać udział w różnego rodzaju konkursach związanych z hodowlą bydła oraz przypatrywać się corridzie.

W krótkim czasie Feria de Abril przekształciła się w największe tego typu wydarzenie w Andaluzji. Ze względu na rosnącą popularność Ferii jej teren zaczął się zwiększać i przypominać tymczasowe miasteczko namiotowe. Na przestrzeni lat kilkakrotnie zmieniano także miejsce Ferii, by w latach siedemdziesiątych XX wieku ostatecznie usytuować ją w dzielnicy Los Remedios. Gdy okazało się, że element zabawa jest równie istotny jak handel bydłem, zaczęto oddzielać przestrzeń przeznaczoną na rozrywkę od tej stricte handlowej. Z upływem lat wątek kupiecki zaczął schodzić na drugi plan, by ustąpić miejsca imprezom czysto rozrywkowym i towarzyskim.

Dzisiejsza Feria niewiele ma wspólnego z festynami organizowanymi pod koniec XIX i na początku XX wieku. Współcześnie jest to przede wszystkim święto mieszkańców Sewilli, którzy przez niemal cały tydzień oddają się beztroskiej zabawie, umacniając tym samym więź grupową.

Historia Ferii bogata jest w nazwiska wpływowych osób ze świata polityki i show-businessu. Poza hiszpańskimi celebrytami, politykami oraz kolejnymi monarchami, jarmark ten zaszczyciły swoją obecnością postaci takie, jak: Grace Kelly, książę Monaco Rainier III, Jacqueline Kennedy czy piosenkarka Nicole Scherzinger (The Pusssycat Dolls). Do tej pory tylko dwa wydarzenia przyćmiły radosną atmosferę Ferii: hiszpańska Wojna Domowa (1936--1939), podczas której święto zostało zawieszone, oraz pożar na terenie Ferii w 1964 roku, który strawił ponad sześćdziesiąt namiotów i przyniósł jedną ofiarę śmiertelną.

Co roku, już w grudniu rozpoczyna się budowa 40-metrowej wysokości bramy. Fot. QuickImage/East News

Zabawa z rozmachem

Już na kilka miesięcy przed rozpoczęciem Ferii na liczącym ponad 120 hektarów terenie znajdującym się w dzielnicy Los Remedios zaczynają się przygotowania do tego gigantycznego jarmarku. Zazwyczaj w grudniu rozpoczyna się budowa ponad 40-metrowej wysokości bramy (hiszp. *portada*) prowadzącej na teren Ferii de Abril (nazywany El Real de la Feria). *Portada* regularnie zmienia swój wygląd. Rokrocznie odbywa się konkurs na projekt bramy prowadzącej na Ferię. Projekty zawsze odwołują się do istotnych elementów architektury sewilskiej. W tym roku projekt, autorstwa Joaquína de Alby, inspirowany był budynkiem Muzeum Sztuk Pięknych w Sewilli (Museo de Bellas Artes). Wygląd feriowej bramy podkreśla splendor całej imprezy: *portadę* oświetla 24 tysiące żarówek o łącznym ciężarze 235 000 kilogramów, zdobią ją malunki zajmujące 3750 metrów kwadratowych, zaś jej koszt to ok. 500 000 euro (sic!).

Falbany... i jeszcze więcej falban?!

Nacho, student dziennikarstwa, Sewilczyk z dziada pradziada, z którego rodziną i przyjaciółmi mogłam poznawać Ferię de Abril „od środka", poetycko zauważa w rozmowie: „Wiosną, która jest najpiękniejszą porą roku w Sewilli, poza kwiatami, kwitną ozdobione licznymi falbanami suknie kobiet. Każda szanująca się mieszkanka Sewilli powinna posiadać w swojej szafie specjalne feriowe stroje".

By zatem w pełni korzystać z uroków Ferii, należy odpowiednio przygotować się do tego święta, czyli wydać dowolnie dużą sumę pieniędzy na stosowny strój. Żadna szanująca się kobieta, czy to mieszkanka Sewilli, czy miłośniczka Ferii spoza Sewilli, nie wybierze się na Ferię bez tzw. *traje de gitana*, czy też *traje de flamenca* – typowego regionalnego stroju. Ferię de Abril można z powodzeniem nazwać targowiskiem próżności. Obcokrajowcy uczestniczący w Ferii nie mogą się nadziwić widokowi sewilskich kobiet ubranych w bogato zdobione stroje. „To, co się tu dzieje, to prawdziwe szaleństwo, te kobiety są szalone – mówię ci!" – wykrzykuje Inés, Portugalka od kilku lat mieszkająca w Sewilli, i dodaje: „Uwielbiam Ferię, uwielbiam patrzeć na kobiety poubierane w feriowe stroje. W dodatku cała moja rodzina kocha Ferię, dlatego co roku moi rodzice przyjeżdżają do mnie w tym czasie, ale wydawanie takiej ilości pieniędzy na strój, który wkłada się raz do roku, wydaje mi się przesadą".

Rokrocznie w Sewilli odbywają się liczne pokazy prezentujące nowe trendy w modzie feriowej. Najpoważniejszą i najbardziej prestiżową imprezą tego typu jest SIMOF – Salón Internacional de la Moda Flamenca. To właśnie SIMOF wyznacza trendy, którym starają się podporządkować feriowe *fashion victims,* wydające na okolicznościowe suknie zawrotne sumy.

Typowa *traje de flamenca* to zazwyczaj długa do ziemi, bardzo dopasowana (im bardziej, tym lepiej), wykończona licznymi falbanami suknia. Wygoda to najmniej istotny element tego stroju. Wiele moich sewilskich znajomych dokonuje tytanicznego wysiłku, aby schudnąć przed Ferią, byle tylko zmieścić się w jak najwęższą suknię, w której zazwyczaj nie będą w stanie nawet usiąść. W feriowej sukni trzeba bowiem przede wszystkim WYGLĄDAĆ.

Wszystko inne (złośliwi mówią, że również oddychanie) schodzi na drugi plan. Feria de Abril to istna feeria barw i wzorów, także gdy chodzi o odświętne suknie. Istnieje nieskończona ilość wariacji na temat upięcia falban i połączeń tkanin. Te najbardziej typowe jednak to przede wszystkim koronki oraz materiały w grochy, groszki i kwiaty.

Feriowy dekalog

Istnieje cały zbiór zasad, jak i z czym należy nosić *traje de flamenca*. Znajdziemy je na blogach poświęconych Ferii i panującej na niej modzie (ja, przygotowując się do Ferii, odwiedzałam jeden: www.entreciriosyvolantes.com). Po pierwsze: jedyne obuwie dopuszczalne to buty na koturnie typu espadryle lub na obcasie. Żadna szanująca się *flamenca* nie włoży płaskiego obuwia do feriowej sukni. Po drugie: już od kilku lat najmodniejsze pozostają długie rękawy. Feriowe purystki (do których zalicza się mama Nacho i wiele poznanych podczas Ferii przeze mnie kobiet) wręcz wyśmiewają panie noszące suknie bez rękawów.

W stroju feriowym niezwykle ważną rolę pełnią także dodatki, przede wszystkim sztuczne kwiaty – imitujące róże, goździki oraz piwonie. Obecne trendy każą kobietom przypinać kwiaty głównie na czubku głowy. Portal YouTube pełen jest tutoriali pokazujących, jak uczesać się na okoliczność Ferii. Obowiązkowe są też różnego rodzaju grzebienie (*peinetas*) i spinki, które należy odpowiednio wpiąć przy koku, bo kok to wciąż obowiązujący rodzaj upinania włosów. Wiele kobiet, by ułatwić sobie życie i uzyskać idealny efekt przy układaniu feriowej fryzury, korzysta z usług fryzjerskich (niejednokrotnie kilka dni z rzędu!). Uszy powinny być przyozdobione ogromnych rozmiarów kolczykami. Do sukni dopina się zazwyczaj niewielkie trójkątne chusty lub frędzle. Trzeba bowiem pamiętać, że podczas Ferii de Abril nie istnieje coś takiego jak przesada! Feriowy savoir-vivre zakazuje noszenia torebek do sukien (wyjątek stanowią uszyte z tego samego materiału co suknia niepozorne torebki-worki), dlatego każda suknia posiada wszytą między falbanami kieszonkę na najpotrzebniejsze drobiazgi. W złym guście są także okulary przeciwsłoneczne oraz telefon komórkowy za dekoltem. Za dekolt można co najwyżej włożyć wachlarz, który jest typowym dodatkiem przynoszącym ulgę w często niezwykle upalne feriowe dni.

Na feriowy strój można wydać każdą ilość pieniędzy, czyli od około 200 euro z dodatkami w wersji najtańszej do kilku, kilkunastu tysięcy euro. To tak, jakby kupować sobie raz do roku suknię ślubną. Niektóre sewilskie damy posiadają na każdy dzień inną suknię (oprócz poniedziałku, gdyż w ten dzień jest w bardzo złym guście włożyć suknię feriową), a co rok, dwa lata szyją nową!

Poza *traje de gitana* istnieje też tzw. *traje corto de amazona* – strój, który kobiety wkładają do jazdy konnej. Jest to wariacja na temat męskiego stroju. Na męski ubiór składa się najczęściej kapelusz z szerokim rondem oraz krótka marynarka i zazwyczaj biała koszula. Jest to jednak strój dużo mniej popularny niż kobiece tradycyjne suknie. Według feriowego savoir-vivre'u, jeśli mężczyzna czy kobieta nie wkładają stroju regionalnego, powinni wystąpić w wieczorowym. W przypadku mężczyzn będzie to garnitur (Nacho, tak jak jego przyjaciele, każdego dnia prezentuje się na terenie kwietniowego festynu w garniturze), zaś w przypadku kobiet - elegancka sukienka. Oczywiście, w dzisiejszych czasach zasady te nie są aż tak rygorystycznie przestrzegane i podczas Ferii można zobaczyć wiele osób w codziennych ubraniach.

Sewilla 2011. Fot. QuickImage/East News

W stroju feriowym niezwykle ważną rolę pełnią dodatki, przede wszystkim sztuczne kwiaty, Sewilla 2011.
Fot. QuickImage/East News

Zabawę czas zacząć!

Feria de Abril rozpoczyna się zawsze w poniedziałek o północy od tzw. *alumbrao*, czyli uroczystego zapalenia lampek na bramie prowadzącej na teren Ferii. Tłumy Sewilczyków oraz turystów gromadzą się na drodze prowadzącej pod bramę wejściową, by na własne oczy zobaczyć to widowisko. Nastrój imprezowy udziela się wszystkim. Pierwsza noc tego wiosennego jarmarku ma swoją specjalną nazwę – *la noche del pescaito frito*. Jest to bowiem noc, kiedy według tradycji serwowane są poczęstunki w formie smażonych w panierce owoców morza, zaś w namiotach na terenie Ferii odbywają się bardzo eleganckie kolacje, na które obowiązuje wstęp za zaproszeniem. Od wtorku zaczyna się regularna impreza, która trwa aż do niedzieli, kiedy to o północy zabawę wieńczy pokaz sztucznych ogni.

Feria de Abril to impreza o masowym charakterze. W ciągu jednego dnia przez jej teren przewija się nawet do miliona osób. Przyjmuje się, że w tygodniu Ferię odwiedzają głównie miejscowi, zaś podczas weekendu zjeżdżają się goście z różnych stron, także ze stolicy – Madrytu, dlatego co bardziej ortodoksyjni „wyznawcy" zasad feriowego *bon tonu* nie pojawiają się na Ferii w weekend, przez wzgląd na napięcia między Sewillą a Madrytem, które można porównać do tych między Krakowem a Warszawą.

Miasto w mieście

Teren Ferii de Abril – *el Real de la Feria* – wygląda jak małe miasteczko. Jest w całości podzielony na „ulice" (noszące imiona najznakomitszych andaluzyjskich torreadorów), przy których rozstawione są tzw. *casetas* – różnych rozmiarów namioty. Do terenu „miasteczka" dołączona jest tzw. *Calle Inferno* – „Piekielna Ulica" – ogromny park rozrywki.

Na terenie Ferii brak centralnego miejsca, w którym toczyłaby się zabawa. Wszystkie wydarzenia odbywają się w *casetas* mogących pomieścić od kilkudziesięciu do kilkuset osób. Liczbę namiotów szacuje się na ponad 1040. Wieść zaś głosi, że lista oczekujących na własny namiot jest tak długa, że trzeba czekać 20 lat. Wszystkie *casetas* posiadają część ogólnie dostępną (*parte noble*), gdzie znajduje się miejsce do tańca i jedzenia, oraz prowizoryczne zaplecze kuchenne. Są zielono-białe bądź czerwono-białe. Wnętrza *casetas* są bogato zdobione motywami kwiatowymi, plakatami i zdjęciami. Każdy turysta odwiedzający Ferię de Abril powinien wiedzieć, że istnieją dwa rodzaje namiotów: prywatne (*casetas privadas*) i publiczne (*casetas públicas*). Mogą być one własnością rodzin, stowarzyszeń, grup przyjaciół czy też firm komercyjnych. Do namiotów prywatnych można wejść tylko wtedy, gdy jest się członkiem stowarzyszenia/grupy/rodziny, która płaci rokrocznie składki na utrzymanie namiotu, lub kiedy ktoś nas wprowadzi.

Pozostają więc jedynie namioty publiczne, będące zazwyczaj własnością partii politycznych, organizacji pożytku publicznego bądź rad dzielnic itp. Warto jednak zauważyć, że wielu radykałów feriowych nie wyobraża sobie przestąpienia progu namiotu publicznego w myśl zasady, że tam bawi się jedynie bardzo podejrzane towarzystwo z „niższych sfer". Ze względu na ograniczony wstęp do *caset* Ferii de Abril często zarzuca się elitaryzm, a także kojarzy się ją z typowym andaluzyjskim paniczykostwem. Warto

jednak wspomnieć, że ferie odbywające się w innych miastach Andaluzji są zazwyczaj festynami otwartymi dla wszystkich, dlatego wielu dziwić może elitaryzm Ferii de Abril. W publicznych namiotach zazwyczaj brak muzyki na żywo, a impreza w środku bardziej przypomina dyskotekę niż święto regionalne. Nie znaczy to, że nie można się tam dobrze bawić. Namioty publiczne dopełniają kolorowego obrazu Ferii de Abril.

Tańczyć każdy może...

Ferii de Abril nieodłącznie towarzyszy muzyka i taniec. Podczas tego festynu niemal bez przerwy słyszy się tzw. *sevillanas* – andaluzyjski śpiew i taniec ludowy wykonywany w parach. Niemal wszyscy Sewilczycy znają kroki *sevillanas*. Wydaje się, że w Europie nie ma podobnego tańca ludowego, który byłby znany tak szerokiej rzeszy osób. Zresztą w większości szkół tańca w Sewilli na mniej więcej pół roku przed Ferią ruszają kursy *sevillanas,* by każdy mógł podszkolić swe umiejętności. Gdy zatem zaczynają rozbrzmiewać pierwsze takty *sevillanas*, na parkietach *caset* nigdy nie brakuje chętnych do tańca, niezależnie od wieku, płci oraz znajomości kroków. Każdy tańczy, jak potrafi. Poza *sevillanas* tańczy się także flamencową rumbę. Flamenco w wielu *casetach* jest także nieodłącznym elementem repertuaru. Gdy zaś impreza wchodzi w swoją schyłkową fazę, zaczyna się zabawa do typowej muzyki dyskotekowej.

In fino veritas…

Nacho kategorycznie stwierdza: „Najważniejszym celem Ferii, która jest spotkaniem całej sewilskiej społeczności, jest zabawa oraz rozkoszowanie podniebienia naszym najbardziej typowym jedzeniem i piciem". Najbardziej popularne są owoce morza oraz przyrządzane na rozmaite sposoby mięsa wraz z nieodłącznym w hiszpańskiej kulturze *jamón* (długo dojrzewająca szynka). Posiłkom towarzyszy oczywiście lejący się strumieniami alkohol pod postacią *vino fino* i *rebujitos*.

Vino fino to młode wino o charakterystycznym słodkawym owocowym smaku, typowe dla regionu Andaluzji. Zazwyczaj pije się je mocno schłodzone. *Rebujitos* to przerażająca mieszanka *vino fino*, 7 up lub Sprite'a oraz dużej ilości lodu. *Rebujitos* podaje się w dzbankach, z których rozlewa się je do „małych" kieliszków przypominających nasze literatki. Jest to napój znakomicie gaszący pragnienie, jednak o zdradzieckiej naturze. Dlatego na drugi dzień można spodziewać się naprawdę ogromnego bólu głowy.

Reguły Ferii de Abril są jednak bezlitosne, wszelki ból należy szybko zwalczyć, by znów kolejny dzień bawić się na tym wiosennym festynie. Pomóc w tym mogą słodkie *buñuelos* – przypominające pączki małe kulki ciasta smażone w głębokim oleju, zazwyczaj polane czekoladą oraz *churros con chocolate*. Wracając po całonocnej zabawie, świętujący wiosenny festyn mają w zwyczaju zatrzymywać się przy ogromnych *churreríach* – tymczasowych stoiskach, gdzie można zjeść zarówno *buñuelos,* jak i *churros con chocolate* – jedną z najbardziej typowych hiszpańskich przekąsek na słodko. *Churros* to smażone w głębokim oleju – przypominające używane przy wyrobie pączków, lecz niesłodkie – ciasto formowane w półokrągłe paluchy. Można powiedzieć, że razem z podawaną do nich czekoladą tworzą połączenie najgorszych tłuszczów z najgorszymi cukrami. Jest to jednak idealna przekąska po upojnej nocy suto zakrapianej alkoholem.

Podczas festynu słyszy się tzw. sevillanas – andaluzyjski śpiew i taniec, Sewilla 2010
Fot. East News

Pieszo czy powozem?

Sewilskie podejście do Ferii de Abril najlepiej ilustruje powiedzenie: „zastaw się, a postaw się". Doskonałym tego przykładem jest tradycja wynajmowania przez rodziny tzw. *coches de caballos* – powozów konnych. Wynajęcie dorożki na jeden dzień to koszt rzędu 1000 euro. Nie przeszkadza to jednak licznym grupom Sewilczyków, którzy niejednokrotnie wynajmują powozy na kilka dni. Przejażdżki odbywają się między godziną 12 a 22. Oprócz dorożek na terenie Ferii pojawiają się także amazonki oraz jeźdźcy ubrani w tradycyjne andaluzyjskie stroje. Złośliwi twierdzą, że wiejący podczas Ferii wiatr unoszący tony końskich odchodów oraz piachu to także nieodłączny element tego festynu. Jakkolwiek liczba powozów, które mogą wjechać na teren Ferii dziennie jest regulowana (nie może przekraczać 700), jednak spacerując po terenie Ferii, należy uważać, by pod dorożkę czy też konia nie wpaść, gdyż tłok panujący w ciągu dnia jest ogromny i nietrudno o wypadek. Przy okazji należy wspomnieć, że ponieważ Feria de Abril wzięła swój początek od targów bydła, towarzyszą jej także walki byków odbywające się na położonym niedaleko *Plaza de toros*.

Feria de Abril co roku przyciąga bogactwem barw tysiące turystów, jednak przede wszystkim jest to święto Sewilczyków, którzy przez sześć dni zacieśniają więzi w swojej lokalnej społeczności. Jak zauważa Nacho: „Feria to czas spotkania Sewilczyków ze sobą nawzajem i ze swoimi korzeniami". Wydarzenie to budzi jednak skrajne emocje. Mało kto pozostaje wobec niego obojętny – tak silnie działa na wszystkie zmysły: kolorami, zapachami, muzyką. Można wręcz pokusić się o stwierdzenie, że albo ktoś Ferię kocha, albo jej nienawidzi. Duże kontrowersje wywołuje także ilość pieniędzy, które co roku są wydawane na przygotowanie tego święta. Co więcej, do niedawna bardzo popularne było branie konsumpcyjnych kredytów na Ferię. Dlatego też wiele osób zwraca uwagę na fakt, że w dobie niekończącego się hiszpańskiego kryzysu gospodarczego wydawanie ogromnych sum na organizację festynu jest wręcz niemoralne. Ferię de Abril nazywa się mieszczańskim świętem pełnym przepychu i próżności. Niezależnie jednak od naszego nastawienia do Ferii, jest ona z pewnością świętem godnym uwagi, zwłaszcza dla osób zainteresowanych różnego rodzaju przejawami kultury tradycyjnej, która w tym wypadku zaadaptowana do współczesnych realiów jest wciąż żywa.

Jadwiga Romanowska

Jadwiga Romanowska, kulturoznawczyni, komparatystka kultury, doktorantka na Wydziale Filozoficznym UJ, dyplomowana instruktorka tańca.
Jej zainteresowania badawcze skupiają się wokół pojęcia transkulturowości oraz tożsamości transkulturowej, a także szeroko rozumianej antropologii tańca.
Jej pasją jest taniec flamenco, który uczyniła także przedmiotem swojej pracy doktorskiej.

List „Dialog Pheniben”

Kraków, 2.04.2015

Sz.P. Dariusz Kortko
Redaktor naczelny katowickiej redakcji *Gazety Wyborczej*

Szanowny Panie Redaktorze,

w dniu 1 kwietnia br. w katowickim wydaniu *Gazety Wyborczej* oraz na stronie internetowej gazeta.pl ukazał się artykuł Pani Michaliny Bednarek pt. *Bezdomna kobieta została zgwałcona przez 12-latka na katowickim dworcu*. Tekst dotyczy wydarzeń z lutego br., a mianowicie gwałtu na bezdomnej kobiecie, którego dokonał 12-latek na podziemnym dworcu autobusowym w Katowicach. Oburzające w artykule są spekulacje na temat pochodzenia nieletniego sprawcy: *Miał śniadą skórę, czarne włosy, bluzę z dresu. Być może Rom.* Autorka idzie jednak dalej w sugerowaniu powiązań domniemanego sprawcy ze środowiskiem romskim - nie omieszkała opisać sytuacji, związanej z grupą romskich dzieci, które podobno codziennie spotykają się na dworcu, choć nie ma żadnych dowodów, że grupa ta była jakkolwiek powiązana ze sprawą: *Składamy skrawki dostępnych informacji. Grupa młodych Romów (dziewczyny i chłopcy) codziennie przychodzi na dworzec, także po tym zdarzeniu. - W ciągu dnia i wieczorami krążą bez celu. Wypraszamy ich, kiedy zaczynają prosić ludzi o pieniądze, przenoszą się wtedy do galerii handlowej obok. To dzieci, powinny być w szkole - mówi nam pracownik ochrony dworca.* Znają ich też pasażerowie. - *Są głośni, czasem zaczepiają ludzi. Odchodzę, kiedy ich widzę. Na dworcu podziemnym chyba tylko dwa razy widziałam kogoś z ochrony i raz patrol straży miejskiej - mówi Anna, która codziennie korzysta z dworca.*

Jeszcze bardziej krzywdzące i niebezpieczne są zbyt daleko posunięte rozważania socjoterapeuty Łukasza Ługowskiego, dotyczące związku kultury romskiej z opisywanym zdarzeniem. - *Inaczej jest w kulturze Romów. Dzieci w tym środowisku wychowywane są w inny sposób, także jeśli chodzi o seks. 12-latek nie jest uważany w romskiej kulturze za dziecko. Trzeba pamiętać, że przecież u nich 13-letnie dziewczynki są poślubione dorosłym mężczyznom. I pojawia się pytanie - czy próbować zmieniać ich świat, czy zostawić, jakim jest? - zastanawia się Ługowski.* Wypowiedź wspomnianego rozmówcy świadczy o jego dużej ignorancji i niewiedzy na temat kultury i zwyczajów społeczności romskiej. Kreowany jest bowiem fałszywy obraz tej kultury jako archaicznej i prymitywnej, w której dopuszczalne i akceptowane jest łamanie prawa i krzywdzenie innych. Absolutnie niedopuszczalne jest szukanie analogii pomiędzy działalnością przestępczą a wartościami obowiązującymi w jakiejkolwiek kulturze, prowadzi to bowiem do wzbudzania strachu i wzmacniania uprzedzeń, a stąd prosta droga do mowy nienawiści i przestępstw motywowanych nienawiścią do osób czy grup odmiennych kulturowo. Każdy przestępca powinien być ukarany zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem, bez względu na jego pochodzenie etniczne, jednakże nie może być zgody na obciążanie zbiorową odpowiedzialnością społeczności romskiej i kultywowanych przez nią wartości za czyny przestępcze obywateli RP.

W związku z powyższą argumentacją zwracam się z prośbą o publikację niniejszego listu na łamach *Gazety Wyborczej*, a także w przyszłości o większą rozwagę i wrażliwość kulturową przy przygotowaniu artykułów publikowanych na łamach *Gazety*. Nie możemy pozostawać obojętni na tego typu treści, rozpowszechniane przez media, ponieważ doskonale wiemy, do jak tragicznych konsekwencji prowadzić może brak reakcji na promowanie stereotypów i uprzedzeń oraz stygmatyzację grup mniejszościowych, odmiennych kulturowo, etnicznie, religijnie czy społecznie.

Z poważaniem

dr Joanna Talewicz-Kwiatkowska
prezeska Fundacji Dialog-Pheniben
redaktor naczelna kwartalnika
„Dialog-Pheniben”

List „Gazety Wyborczej”

Katowice, 23 kwietnia 2015 r.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska
Prezes Fundacji Dialog-Pheniben

Szanowna Pani Prezes,

z przykrością przeczytałem Pani apel, wystosowany w związku z artykułem Michaliny Bednarek pt. „Bezdomna kobieta została zgwałcona przez 12-latka na katowickim dworcu”, opublikowanym w katowickim wydaniu „Gazety Wyborczej” 1 kwietnia 2015 r. Jest mi tym bardziej przykro, że zarówno katowicka „Gazeta”, jak i jej dziennikarze wielokrotnie udowadniali, że idea tolerancji i obrona słabszych nie są dla nas tylko pustym frazesem. Wielokrotnie piętnowaliśmy na naszych łamach ksenofobię, brak szacunku dla szeroko rozumianej inności i przemoc.
W tekście, który wywołał Państwa protest, także staraliśmy się, by nie podkreślać pochodzenia sprawcy gwałtu, gdyż - ma Pani rację - nie stanowi to istoty sprawy. Autorka starała się uwypuklić inny, ważniejszy aspekt: Co można zrobić, jeśli sprawcą gwałtu jest dziecko? Jak mogą zadziałać powołane do tego organy, czy nasz system karny i wychowawczy jest przygotowany na takie zdarzenia, jak zadośćuczynić krzywdzie, gdy nie można ukarać dziecka, które jeszcze nie jest w stanie rozpoznać skutków swojego czynu? O tym był ten tekst, a nie o pochodzeniu etnicznym sprawcy.
Kwestie, które Pani porusza, pojawiły się w trakcie zbierania informacji, rozmów ze świadkami, były próbą zrekonstruowania faktów, zrozumienia, co się stało i jak w tej sytuacji powinno się reagować. Z pewnością ta niezwyczajna i trudna sytuacja, do jakiej doszło na dworcu, i próba szukania odpowiedzi na nurtujące nas pytania spowodowała, że nie byliśmy dostatecznie wyczuleni na kwestie tolerancji i zachowania praw mniejszości etnicznych, za co szczerze przepraszam.

Z poważaniem

Dariusz Kortko
redaktor naczelny
katowickich stron „Gazety Wyborczej”

KOMENTARZ Paweł Smoleński

To bardzo ciekawa, pouczająca, ale też przerażająca wymiana listów, a to ze względu na czyn, którego dotyczy, oraz na osobę sprawcy. Najlepiej byłoby, gdyby opisy takich zdarzeń nie trafiały do prasy, boby ich po prostu nie było. Ale tak dobrze nie ma. Warto więc nauczyć się czegoś na błędach.
Jeśli ofiara przestępstwa należy do jakiejś mniejszościowej grupy etnicznej czy religijnej, do mniejszości w ogóle, zaś wyrządzona jej krzywda wiąże się z pochodzeniem, przekonaniami czy orientacją seksualną, ma to znaczenie. Przestępstwa powodowane tzw. mową nienawiści muszą być ścigane z całą stanowczością, czego, niestety, o Polsce zbyt często powiedzieć się nie da. Wystarczy wspomnieć pewnego prokuratora z Białegostoku, który malowanie swastyk na murach uznał za propagowanie hinduskiego symbolu szczęścia.
Lecz w drugą stronę to nie działa. Przestępca jest przestępcą i jego etniczność nie ma tu żadnego znaczenia. A zwłaszcza podpinanie pod etniczność rozważań o obyczajowości i kulturze, które nic nie wyjaśniają, a tylko powodują, że czytający może kierować się w swoich ocenach łatwymi uogólnieniami, stereotypami i półprawdami. Półprawda to po prostu całe kłamstwo. Stereotyp zaś jest kwintesencją bredni.
Tyle że – jak było w przypadku informacji o gwałcie popełnionym przez dwunastolatka na dworcu w Katowicach – nikt nikogo nie chciał tu napiętnować ze względu na narodowość. Wyszło źle po prostu dlatego, że nie dochowano zasady szczególnej staranności, zabrakło empatii, a może doświadczenia. Czasami dzieje się i tak. Warto z tego wyciągać wnioski.
Nie ma ich wiele i nie są one zbyt skomplikowane. Po pierwsze: trzeba uważać, uważać i jeszcze raz uważać na najbardziej nawet niewinne słowa i opinie, na ich kontekst i ewentualne drugie dno. Z takimi tekstami nie wolno się po prostu spieszyć; niech je przed drukiem przeczyta kilku redaktorów. Może pomóc, choć nie daje gwarancji uniknięcia błędu.
Po drugie: warto podstawić siebie do opisywanej historii. To dobrze robi, bo daje jasność spojrzenia i precyzję słowa.
Po trzecie: jeśli już mleko zostało rozlane, nie upierać się, że nic się nie stało, ale po prostu przeprosić. Tak jak katowicka redakcja „Gazety Wyborczej”. Jeśli nie można uniknąć grzechu lub popełniło się grzech nieświadomie, trzeba wziąć to na klatę. Tak również można poprawić standardy polskiej żurnalistyki.

O Romach
– encyklopedycznie, acz nieściśle. Recenzja Romopedii

Z Romopedią jest jak z Wikipedią Można z niej śmiało korzystać, szukać podpowiedzi, lecz trzeba mieć świadomość dziur i nieścisłości

Sławomir Kapralski

http://romopedia.pl

Romopedia to internetowa encyklopedia wiedzy o Romach, będąca projektem związanym z kampanią społeczną „Jedni z wielu", mającą na celu walkę z uprzedzeniami na temat Romów. To bardzo ważna inicjatywa, gdyż dotyczy grupy, o której wiedza w społeczeństwie jest niewielka i skażona stereotypami. Należy pochwalić autorów za odwagę podjęcia tego zadania i za rzetelne podejście, przejawiające się w budowaniu haseł w oparciu o istniejącą literaturę, wykazaną w bibliografii do poszczególnych haseł, do której prowadzą też odnośniki w tekście.

Jak w większości takich projektów, autorstwo jest zespołowe, co czasami prowadzi do niespójności: informacje, daty i fakty dotyczące tych samych problemów pojawiają się w różnej postaci w poszczególnych hasłach. Niewątpliwie przydałaby się lepsza koordynacja i kontrola procesu uzupełniania haseł. Można by też pomyśleć o eliminacji wielkiej liczby powtórzeń: jeśli za pomocą hiperłączy możemy się błyskawicznie przenieść do haseł powiązanych, to nie ma sensu w każdym z nich powielać tych samych informacji.

Odnośniki do literatury również wymagają bardziej precyzyjnego opracowania. Np. w haśle „Akcja zatrzymania taborów" przy tabelce przedstawiającej liczbę Romów prowadzących wędrowny tryb życia w PRL-u znajduje się odnośnik, nie wiadomo jednak do jakiej publikacji. Hasło zawiera bibliografię i dublujące się z nią przypisy (a właściwie jeden przypis, zawierający szereg pozycji bibliograficznych), również nie wiadomo do czego się odnoszące – nie ma do nich odwołań w tekście.

Bibliografia do niektórych haseł jest dobrana dość przypadkowo. Na przykład moja książka „Naród z popiołów" znajduje się w bibliografii do hasła „Wurdonara Roma". Sprawia mi to dużą przyjemność, niemniej jednak faktem jest, że w książce tej (ani nigdzie indziej zresztą) nic o Wurdonara Roma nie pisałem. W niektórych hasłach zawierających cytaty z literatury lub dokumentów romskich organizacji należałoby częściej używać cudzysłowu dla ułatwienia czytelnikowi orientacji. Inne problemy postaram się przedstawić, omawiając wybrane hasła.

W haśle „Akcja zatrzymania taborów" autorzy piszą, że została ona „przeprowadzona między 23 a 25 marca 1964". W rzeczywistości akcja osiedlania wędrownych Romów była długim procesem, który nie trwał trzy dni. W marcu 1964 roku dokonywano głównie rejestracji, meldowano na stałe i informowano o karalności dalszego wędrowania. W rezultacie zatrzymano i zmuszono do zameldowania się jedynie 129 rodzin, 360 zadeklarowało, że zaprzestanie wędrówek w późniejszym czasie, a 657 rodzin w ogóle nie podporządkowało się nakazom (A. Mirga, Romowie w historii najnowszej Polski. W: Mniejszości narodowe w Polsce. Pod red. Z. Kurcza. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1997, 167-168).

Autorzy piszą dalej, że akcja osiedleńcza „była efektem zdecydowanej i represyjnej polityki państwa wobec Romów". Tymczasem politykę państwa trudno określić jako zdecydowaną; nie zawsze była też bardzo represyjna, przynajmniej w porównaniu z innymi krajami Europy Wschodniej. Zoltan Barany określa ją jako „politykę chaotycznych interwencji", charakteryzującą się niekonsekwencjami i brakiem rozbudowanej legislacji antyromskiej, co w rezultacie sprawiło, że polscy Romowie opierali się asymilacji bardziej skutecznie niż Romowie żyjący w innych krajach komunistycznych (Z. Barany, The East European Gypsies. Regime Change, Marginality, and Ethnopolitics. Cambridge University Press, Cambridge 2002, 120).

Autorzy sami zresztą przyznają, że „[z] uwagi na przypadki zaniedbań w realizacji uchwały przez jednostki terenowe administracji zalecano zaostrzenie działań i restrykcyjne egzekwowanie przepisów (…)". A więc jednak polityka państwa nie była tak zdecydowana i represyjna. W zdaniu tym pojawia się przy tym odwołanie do „uchwały", o której nic nie zostało powiedziane wcześniej – być może chodzi o uchwałę Prezydium Rządu z 1952 roku „W sprawie pomocy ludności cygańskiej przy przechodzeniu na osiadły tryb życia", która jednakże mówiła raczej o systemie zachęt, nie zaś o represjach. Te ostatnie stosowano, posługując się innymi przepisami, niedotyczącymi specyficznie Romów (np. meldunkowymi, dotyczącymi bezpieczeństwa i porządku ruchu na drogach, ochrony przeciwpożarowej itp.). Dalej zresztą autorzy sami piszą: „Nie było odpowiedniej ustawy, która regulowałaby działania władz i równoznacznie [? – S.K.] odnosiłaby się do zakazu prowadzenia wędrownego stylu życia".

Hasło „Zagłada Romów w KL Auschwitz-Birkenau" nie przedstawia genezy deportacji Romów do Auschwitz i roli tego obozu w zagładzie Romów. Na początku hasła nie ma wzmianki o tym, że w Auschwitz-Birkenau istniał specjalny podobóz cygański – tzw. cygański obóz rodzinny. (Informacja taka pojawia się dopiero pod koniec hasła, przy okazji omawiania Dnia Pamięci o Zagładzie Romów, a także w innych, powiązanych hasłach). W związku z tym zdanie, mówiące że gdy przybył pierwszy transport Romów, „obóz był jeszcze w budowie", może być zrozumiane jako odnoszące się do całego Auschwitz-Birkenau. Poza tym Romowie byli transportowani do Auschwitz jeszcze wcześniej. Transport wspomniany w haśle był więc pierwszym w tym tylko sensie, że był pierwszym transportem wysłanym do Auschwitz w oparciu o tzw. Auschwitz-Erlaß, wydany przez Heinricha Himmlera w grudniu 1942 roku.

Na początku hasła można również znaleźć błędną datę likwidacji obozu cygańskiego. W rzeczywistości to tragiczne wydarzenie miało miejsce 2 sierpnia, a więźniowie byli mordowani przez całą noc z 2 na 3 sierpnia. Właściwą datę można znaleźć natomiast pod koniec hasła, jako datę międzynarodowych obchodów upamiętniających likwidację obozu cygańskiego (a także w innych hasłach). Generalnie hasło to wymaga znaczącej rozbudowy,

zwłaszcza że los Romów w Auschwitz jest stosunkowo dobrze znany i istnieje na ten temat spora literatura.
Pisząc o „Porajmos", autorzy mogliby poświęcić nieco więcej miejsca genezie tego terminu, gdyż jest ona istotna jako przejaw dążenia (niektórych) Romów do tworzenia swej własnej historiografii za pomocą terminologii własnego języka. Byłoby też dobrze wskazać na przyczyny odrzucenia tego terminu przez wielu Romów, związane z seksualnymi konotacjami jego źródłosłowu (piszę o tym w swojej książce „Naród z popiołów", z której autorzy często korzystają w innych miejscach; mogliby więc wykorzystać i ten fragment). Nieprecyzyjne jest też zdanie, że „Romscy intelektualiści proponują termin Samudaripen", gdyż, po pierwsze, wyklucza to Iana Hancocka, który termin „Porajmos" zaproponował, z grona romskich intelektualistów, a niewątpliwie nim jest, po drugie zaś, termin „Samudaripen", znaczący mniej więcej tyle, co „ludobójstwo", też jest wynalazkiem językowym (tym razem autorstwa najprawdopodobniej Marcela Courthiade) i nie znajduje się w powszechnym użyciu, nawet wśród romskich intelektualistów. Problematyka wspólnoty tragicznych losów Romów jest oczywiście związana z terminem „Porajmos" (nawiasem mówiąc, według Hancocka powinno być raczej „o baro Porajmos"), ale związek ten nie został zbyt dobrze przedstawiony w omawianym haśle. Nie wiadomo też, co robi w tym haśle fragment na temat problemów integracji Romów migrujących z terenów wschodnich, a także co/kogo mają autorzy na myśli, pisząc o Romach „internowanych za Uralem".
Hasło „Romski ruch religijny (rzymskokatolicki)" opisuje raczej działalność duszpasterską Kościoła rzymskokatolickiego wśród Romów. Na miano romskiego ruchu religijnego bardziej zasługuje rozwój romskich Kościołów zielonoświątkowych, który jednakże nie został w Romopedii opisany, nawet w haśle „Religia Romów". Należałoby te hasła uzupełnić, gdyż wspomniany ruch jest jednym z najistotniejszych zjawisk charakteryzujących romskie społeczności Europy w ostatnich latach.
Hasło „Pochodzenie Cyganów/Romów" podaje bez żadnych zastrzeżeń informacje niepotwierdzone, hipotetyczne, a często zgoła fantastyczne (zwłaszcza dotyczące opuszczenia Indii przez przodków dzisiejszych Romów). Nawet w na pozór bezspornych stwierdzeniach kryją się pułapki. Autorzy hasła piszą np., że „Romowie pochodzą z Indii i stamtąd przybyli do Europy. Wiemy to dzięki badaniom historyków i potwierdzeniu ich przez językoznawców". Otóż kolejność powinna być raczej odwrotna: wiedzę o pochodzeniu przodków współczesnych Romów czerpiemy przede wszystkim z badań językoznawców, które następnie starają się, z umiarkowanym skutkiem, weryfikować historycy. Badania tych ostatnich nie dostarczają bezspornej wiedzy, głównie w związku z problemami interpretacyjnymi dotyczącymi źródeł, i nie można – jak czynią autorzy – przedstawiać formułowanych przez niektórych historyków hipotez jako potwierdzonej wiedzy.
Poza tym stwierdzenie „Romowie pochodzą z Indii" jest dość niebezpieczne. Po pierwsze, osobiście znam wielu Romów, ale żaden z nich z Indii nie pochodzi. Po drugie, prace współczesnych romologów dowodzą, że Romowie jako konglomerat grup o specyficznych, odrębnych od innych tożsamościach ukształtowali się dopiero po przybyciu do Europy, przede wszystkim w Bizancjum, choć pewne trwałe cechy kulturowe powstały dopiero w XV-XVI wieku jako rezultat spotkania ze społecznościami Europy Zachodniej. Dlatego też postulowałbym raczej używanie zwrotu „przodkowie współczesnych Romów", kiedy mówimy o dawnych dziejach. Zagadnienie to ma też swój wymiar polityczny, związany z postawami dyskryminacyjnymi wobec Romów oraz wykluczaniem ich poza nawias kultury europejskiej, i często pojawia się w wypowiedziach romskich aktywistów, podkreślających europejski charakter Romów.
Warto też na marginesie wspomnieć, że autorzy w kilku miejscach powołują się na badania genetyczne, mające ostatecznie potwierdzać te lub inne tezy historyków. Trzeba podkreślić, że badania te są jak na razie oparte na bardzo wąskiej ewidencji. Poza tym wyciąganie

z nich daleko idących wniosków na temat romskiej kultury i tożsamości jest dalece nieuprawnione, gdyż opiera się na ukrytych założeniach, które trudno jest udowodnić.
W haśle „Polska Roma" autorzy nieprecyzyjnie piszą, że wśród Cyganów z grupy Polska Roma można wyróżnić „wiele innych bliskich im, mniejszych grup", takich jak Warmijaki, Jaglaki, Bosaki itd. Otóż te grupy nie są „bliskie" Polskiej Romie, one są! Polską Romą, a różnice między nimi biorą się z odmiennych terytoriów wędrówek lub są związane z nazwiskiem czy przydomkiem protoplasty. Generalnie autorzy mogliby poświęcić więcej uwagi wewnętrznym zróżnicowaniom grup romskich i relacjom między grupą, podgrupą, nacją, vicą itd.
Stwierdzenie, że Polska Roma „[są] grupą tubylczą, autochtoniczną na terenie Polski. Inne grupy romskie sami określają jako cudzoziemców" wprowadza, niechcący chyba, nieuzasadniony podział między różnymi grupami Romów zamieszkującymi Polskę, które są w rzeczywistości tak samo autochtoniczne jak Polska Roma. Również uwaga na temat „swoistego patriotyzmu polskiego", mającego charakteryzować Polską Romę i który w swojej poezji miała oddawać Papusza, wymagałaby bardziej pogłębionej refleksji na temat tożsamości Polskiej Romy i jej relacji z twórczością Papuszy: obie te sprawy są bowiem o wiele bardziej skomplikowane.
Polska Roma faktycznie charakteryzuje się przywiązaniem do tradycyjnych wartości (choć jest to zjawisko dynamiczne), niemniej jednak nie jest to jakiś wyjątkowy tradycjonalizm i można w Europie znaleźć wiele grup romskich o podobnym stosunku do własnego dziedzictwa kulturowego.
Hasło „Zróżnicowanie grupowe Romów w Polsce" zawiera kilka nieprecyzyjnych sformułowań. Tak na przykład, kiedy autorzy piszą, że Kełderasze „[w]chłonęli mniejsze vice (rodziny, szczepy), które przybyły z nimi do Polski, z wyjątkiem Lowarów", to czytelnik może odnieść wrażenie, że rodziny i szczepy to synonimy vicy (zwłaszcza że nie ma odrębnego hasła poświęconego tej ostatniej). Tymczasem vica to osobna jednostka wewnętrznego zróżnicowania społeczności romskich, którą najlepiej określić jako klan (pewna liczba rodzin wywodzących się od wspólnego przodka), a więc stanowi coś więcej niż rodzinę i coś mniej niż „szczep" (w tym ostatnim przypadku lepiej użyć pojęć „grupy" lub „podgrupy"). Cytowane zdanie może też sugerować nieprawdziwą informację, że Lowarzy to vica Kełderaszy.
W tym miejscu można też powtórzyć uwagę o braku dobrej komunikacji między hasłami. Termin „vica" został bowiem poprawnie zdefiniowany w haśle „Struktura wewnętrzna Romów", jednakże nie widać śladu tej definicji w haśle tu omawianym. Przy okazji, hasło dotyczące struktury wewnętrznej mogłoby po prostu zaprezentować w całości schemat klasyfikacyjny autorstwa Jean-Pierre'a (a nie Jean Paula, jak piszą autorzy) Liégeois, w celu uniknięcia nieporozumień.
W innym miejscu tego hasła autorzy piszą, że kolejnymi grupami Romów zamieszkującymi nasz kraj są „Romowie migrujący do Polski z różnych przyczyn, a także przymusowo przesiedlani. Wśród nich są niemieccy Sinti oraz rosyjscy Chaładytka Roma". Otóż mieszkająca w Polsce niewielka grupa Sinti nie migrowała do Polski, ani nie została przesiedlona (z wyjątkiem jednostek), tylko pochodzi z dawnych niemieckich ziem, które weszły w skład państwa polskiego po II wojnie światowej. Chaładytka natomiast stanowią dla badaczy pewien problem. Niektórzy (np. Czerenkow) określają tak wszystkich Romów rosyjskich, co jest zastosowaniem zbyt szerokim i nieuwzględniającym odmiennych autoidentyfikacji Romów zamieszkujących Rosję, inni zaś (np. Mirga i Mróz) skłonni są traktować ich za nację Polskiej Romy, co z kolei wydaje się być podejściem zawężającym. Osobiście byłbym skłonny określać tym mianem grupy żyjące na wschodnich terenach II Rzeczypospolitej (Białoruś, Litwa), kulturowo znajdujące się pomiędzy Polską Romą a Ruską Romą. Po II wojnie światowej zostały one rozdzielone nową granicą. Część z nich

po wojnie faktycznie skorzystała z możliwości repatriacji, trudno ich jednak uznać za imigrantów, ze względu na tradycyjne związki z Polską.
Sporo zamieszania wprowadzają uwagi na temat grupy Wurdonara (Cyntury, Sanocka Roma). Z jednej strony jest ona według autorów „podobna do Lowarów pod względem obyczajowości i wykonywanych profesji", w innym zaś miejscu autorzy piszą, że są oni najbliżsi Bergitka Roma, co logicznie oznaczałoby, że Bergitka i Lowara też są do siebie zbliżeni bądź podobni, a to prawdą nie jest.
W haśle „Cacipen" (słowo to powinno być zapisywane jako „ćaćipen") autorzy piszą, że termin ten odnosi się do etycznego nakazu prawdomówności w stosunkach między Romami. W rzeczywistości pojęcie to ma szerszy zakres i oznacza zgodność postępowania z zasadami tradycyjnej kultury, np. z romanipen w tych grupach, które go uznają. „Ćaćo Rom" to nie tyle Rom prawdomówny, ile Rom „prawdziwy", żyjący zgodnie z tradycją. Z kolei zasada „manusipen" nie ma tak precyzyjnego znaczenia, jakie przypisują jej autorzy, i oznacza po prostu „człowieczeństwo" w stosunkach międzyludzkich.
Hasło „Kale (Cale)" odnosi się do Cyganów z Półwyspu Iberyjskiego. Dlatego lepiej by było podać ich nazwę wyłącznie w formie „Cale", aby uniknąć pomyłki z zamieszkującymi Skandynawię grupami określającymi się jako „Kale". Trudno powiedzieć, że posługują się oni dialektem języka romani, gdyż akurat ich dialekt znajduje się w zaniku i ma status podobny do „angloromani" Cyganów Brytyjskich (o których, nawiasem mówiąc, próżno szukać informacji w Romopedii, choć należą do najlepiej zbadanych grup romskich). Nie do końca prawdziwe jest zdanie, że „nie chcą być określani jako Romowie i chętniej używają nazwy własnej (Cale)". Młode pokolenie jest autentycznie zainteresowane panromską tożsamością europejską (a więc byciem Romem), starsze zaś nie ma zazwyczaj nic przeciwko temu, aby określać się jako Gitanos.
W haśle „Nomadyzm" czytamy, że „Romowie tradycyjnie prowadzili koczowniczy, wędrowny styl życia". Zdanie to zawiera nieuprawnioną generalizację. Otóż niektórzy prowadzili, inni zaś nie – o ile mieli warunki do prowadzenia osiadłego trybu życia, to chętnie z nich korzystali. Wielu Romów, zwłaszcza w Europie Wschodniej, „tradycyjnie prowadzi" właśnie osiadły tryb życia. Z drugiej strony autorzy słusznie podkreślają „usługowy" charakter romskiego nomadyzmu, wynikający ze specyficznego miejsca Romów w ekonomiach społeczeństw, wśród których żyli.
W haśle „Szczurowa" brakuje nazwiska ocalałej z masakry Krystyny (Gil), nieścisła jest też informacja, że w egzekucji uczestniczyli żołnierze niemieccy (w rzeczywistości byli to niemieccy żandarmi wspomagani przez polskich „granatowych" policjantów).
Niektóre stwierdzenia są nieuprawnionymi generalizacjami, bo zjawiska w nich opisywane nie dotyczą wszystkich grup romskich – np. „Romowie wierzyli, iż zmarły jest tak długo związany ze swoim ziemskim dobytkiem, dopóki się tego dobytku nie spali, zatopi lub zakopie. Dlatego gdy właściciel wozu umierał, często jego wóz palono".
W haśle dotyczącym Gypsy Lore Society mylnie zasugerowano, że czasopismo „Romani Studies" jest przez tę organizację wydawane równolegle z „Journal of the Gypsy Lore Society", podczas gdy w rzeczywistości jest ono jego kontynuacją pod zmienioną nazwą. Przy okazji można by napisać więcej o charakterze badań nad Romami zainicjowanych przez GLS, gdyż toczy się obecnie wokół tego zagadnienia ożywiona dyskusja, wskazująca na przesądy i stereotypy funkcjonujące w środowisku akademickim, określane terminem „gypsylorism".
Hasło „Kongresy romskie" to prawdziwe pole minowe, w związku z bardzo rozmaitymi informacjami, jakie na ten temat można znaleźć w literaturze. W jednym miejscu autorzy piszą, że pierwszy Kongres zorganizowany był przez „World Romani Union" (co nie jest prawdą), w innym zaś – prawidłowo – że do jego organizacji przyczyniły się Comité International de Tzigane (prawidłowo: Comité international Tsigane) wspólnie z brytyjskim Gypsy Council. Trzeba jednak podkreślić, że wydarzenia związane z I Kongresem są w literaturze dość powszechnie mitologizowane i przeinaczane (nawet przez jego uczestników), stąd też nie jest winą autorów, że opierając się na artykule E. Davidovej, powtarzają jej sposób widzenia wydarzeń. Lepszym źródłem jest: Acton T., Klimová I., The International Romani Union: An East European Answer to West European Questions? Shift in the Focus of World Romani Congresses 1971-2000. W: W. Guy (red.) Between Past and Future. The Roma of Central and Eastern Europe. Hatfield 2001: University of Hertfordshire Press. (Thomas Acton również był uczestnikiem I Kongresu).
Całe hasło powinno być uaktualnione w związku z obecnym rozpadem i kryzysem International Romani Union. Podobnie wiele innych haseł, np. właśnie „International Romani Union", „Stowarzyszenie Romów w Polsce" czy to o piśmie „Dialog-Pheniben". Generalnie jeśli chodzi o romskie stowarzyszenia o charakterze międzynarodowym, możemy w Romopedii znaleźć informacje jedynie o IRU i European Roma Rights Center. Nie ma zaś nic np. o European Roma and Traveller Forum, European Roma Information Office, Roma Education Fund, Contact Point for Roma and Sinti Issues. Niewątpliwie można to złożyć na karb zrozumiałego polonocentryzmu Romopedii, niemniej jednak w przypadku grupy o charakterze tak bardzo transnarodowym szersze uwzględnienie międzynarodowych organizacji wydaje się koniecznością (tak samo jak np. polityki Unii Europejskiej wobec Romów).
W haśle o pogromach antyromskich w okresie transformacji autorzy zdecydowanie stwierdzają, że „[p]odłożem zajść w Mławie był konflikt społeczny, a nie konflikt etniczny". Stanowisko takie nie uwzględnia np. poglądu A. Mirgi, zgodnie z którym element etniczny zawsze występuje w konfliktach Romów z nie-Romami, choć niewątpliwie w przypadku wydarzeń w Mławie był on częścią szerokiego zespołu przyczyn, często niezwiązanych z etnicznością.
Jeśli zaś chodzi o drobiazgi, to bardzo dziwnie wygląda np. adres Muzeum Romskiej Kultury w Brnie. Ma się ono mianowicie znajdować pod adresem Brno-Bratysława Zábradovice. Hasło „Romska grupa etniczna" to absolutny chaos: mamy tam przypadkowo dobrane koncepcje etniczności i wybrane jej elementy, w nieuporządkowany sposób przedstawione i nie wiadomo jak właściwie odnoszące się do Romów – i których? Szerszym problemem jest tu kwestia rozmaitej natury haseł. Niektóre z nich, dotyczące np. pewnych elementów romskiej kultury czy organizacji społecznej, mogą być zdefiniowane w sposób zwięzły. Inne natomiast wymagają niemalże krótkiego akademickiego eseju i z nimi Romopedia ma sporo problemów. Dotyczy to np. kwestii Romów jako narodu czy mniejszości narodowej, a także hasła „Eksterminacja Romów podczas II wojny światowej".
Autorzy posługują się wieloma terminami z języka romani. Nie czując się wystarczająco kompetentny w tym zakresie, sugerowałbym jednak daleko idącą konsultację lingwistyczną, dotyczącą form gramatycznych i sposobów zapisu.
Powtórzmy więc: Romopedia jest cenną inicjatywą. Aby jednak odegrała rolę w procesie edukacji większości społecznej o Romach, jej autorzy powinni wyeliminować nieścisłości w kolejnych wersjach.

Sławomir Kapralski

Sławomir Kapralski,
dr hab., socjolog i antropolog społeczny. Pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie;
członek Gypsy Lore Society, European Association for Holocaust Studies i European Academic Network on Romani Studies; autor książki „Naród z popiołów. Pamięć zagłady a tożsamość Romów" (Scholar, 2012).

Zagłada Romów w Polsce i problem kolaboracji

Wieśniacy poprosili żandarmów, by nie rozstrzeliwali Romów w pobliżu gospodarstw. Wywieziono więc ich do lasu. Potem zabójcy pili w miejscowej karczmie.

Sławomir Kapralski

Zagadnienie kolaboracji w przypadku zagłady Romów jest słabo zbadane i nie istnieje w świadomości społecznej, podobnie jak – do niedawna – ich los podczas II wojny światowej. Istniejąca literatura koncentruje się głównie na kolaboracji rządów państw sprzymierzonych z hitlerowskimi Niemcami (1). Współpraca z nazistami na terenach bezpośrednio kontrolowanych przez hitlerowskie Niemcy miała inny charakter. Nie była to kolaboracja politycznej reprezentacji podbitych narodów, ponieważ nie przewidywały tego plany nazistów. Kolaborowały jednostki i instytucje – zachowane przez okupanta lub stworzone przez niego – uwikłane w sieć skomplikowanych zależności i interakcji z hitlerowskim mechanizmem terroru.

Jedną z takich instytucji była w okupowanej Polsce policja (zwana od koloru mundurów granatową policją), powołana do życia w grudniu 1939 roku i podporządkowana lokalnym komendantom Niemieckiej Policji Porządkowej. Składała się z przedwojennych funkcjonariuszy, przymusowo wcielanych do nowej formacji. Pełniła rolę pomocniczą wobec niemieckiej policji i żandarmerii, np. identyfikując pewne osoby jako Romów, czasami zaś działała na własną rękę, np. zatrzymując Romów wędrujących po kraju

Żołnierze SS i policja w romskim obozie, Niemcy 1940 rok.
Fot. AKG images/East News

i przekazując ich posterunkom żandarmerii lub uczestnicząc w egzekucjach. Gorliwość w prześladowaniach była często cechą indywidualną: formacja ta nie była bowiem jednolita. W jej skład wchodziły osoby chętnie i z własnej woli kolaborujące z Niemcami oraz z przyjemnością uczestniczące w okrucieństwach, szantażyści i osoby czerpiące korzyści z kontroli czarnego rynku, ale też ci, którzy chcieli po prostu kontynuować swą przedwojenną pracę i uważali się za gliniarzy, a także osoby współpracujące z podziemiem i pomagające ratować potencjalne ofiary Gestapo (2).
Na wsi hitlerowcy stworzyli sieć instytucjonalnych powiązań, mających zabezpieczać ich interesy, do udziału w której zobowiązani byli wójtowie i sołtysi, ponoszący odpowiedzialność za sytuację w ich regionie (3). W tym celu musieli oni wyznaczać tzw. zakładników, czyli osoby zmuszone do składania raportów na temat sytuacji we wsi, a także woźniców, którzy wraz z wozami i końmi musieli uczestniczyć w działaniach niemieckiej żandarmerii i polskiej policji. Posterunki żandarmerii powoływały też czasami warty wiejskie, których członkowie musieli penetrować okolicę w poszukiwaniu osób podejrzanych, włączając w to ukrywających się Żydów i Romów. Nawet jednostki straży pożarnej były używane do zabezpieczania terenów egzekucji i grzebania ciał ofiar.
Oprócz sieci kolaborujących instytucji należy też w tym kontekście wspomnieć o zbrojnych oddziałach partyzanckich różnych orientacji politycznych, które walczyły z hitlerowcami, ale czasami, z rozmaitych powodów, prześladowały również ofiary hitlerowskiego terroru. Na wschodnich terenach okupowanej Polski sytuacja była jeszcze bardziej skomplikowana ze względu na konflikt ukraińsko-polski i dążenia członków UPA do etnicznej czystki, której ofiarami padali również ci Romowie, którzy przez ukraińskich nacjonalistów byli określani mianem Polaków, tzn. byli wyznania rzymskokatolickiego.
Wreszcie zwykli ludzie, wplątani w sieci rozmaitych wymogów i zobowiązań, próbując przeżyć i zorganizować sobie życie w kraju pod niemiecką okupacją, dopuszczali się czasami aktów kolaboracji: aktywnej – np. donosząc o obecności Romów na danym terenie, lub pasywnej – np. odmawiając pomocy tym, którzy jej potrzebowali. W pewnych rzadkich sytuacjach sami Romowie uczestniczyli w prześladowaniach swoich braci i sióstr.
Zjawisko kolaboracji jest złożone i obejmuje całe spektrum działań i postaw znajdujących się między zdecydowanym oporem stawianym okupantowi a entuzjastycznym poparciem hitlerowskich Niemiec (4). Stąd też wydaje się rzeczą użyteczną, aby potraktować kolaborację, w tym również pomoc udzielaną hitlerowcom w prześladowaniu Romów, jako złożony proces, mający zmienną i często przypadkową dynamikę, w którym nakładają się na siebie rozmaite poziomy działań indywidualnych, grupowych i instytucjonalnych (5). Aby oddać tę złożoność, proponuję zamiast jednego pojęcia kolaboracji posługiwać się trzema pojęciami: współsprawstwo, współpraca i uczestnictwo. W ten sposób będziemy mogli bardziej precyzyjnie określić omawiane zjawisko.
O współsprawstwie możemy mówić w przypadku granatowej policji i innych jednostek, których członkowie wchodzili w skład grup egzekucyjnych, zatrzymywali, pilnowali i transportowali ofiary oraz zabezpieczali tereny egzekucji. Działania osób, które donosiły władzom o obecności Romów, co prowadziło do ich śmierci, mogą być również zaklasyfikowane jako współsprawstwo.
Z kolei o współpracy możemy mówić w przypadku przedstawicieli administracji lokalnej, którzy informowali władze niemieckie o ruchach romskich taborów, musieli dostarczać wozy i konie, aby transportować ofiary na miejsce egzekucji i wyznaczać ludzi do grzebania zwłok. Czasami współpracowali bardzo gorliwie, zbliżając się tym samym do współsprawstwa, czasami zaś po prostu starali się przetrwać w sieci

Sławomir Kapralski,
dr hab., socjolog
i antropolog społeczny.
Pracuje w Instytucie Filozofii
i Socjologii Uniwersytetu
Pedagogicznego
w Krakowie;
członek Gypsy Lore Society,
European Association
for Holocaust Studies
i European Academic
Network on Romani Studies;
autor książki
„Naród z popiołów.
Pamięć zagłady a tożsamość
Romów" (Scholar, 2012).

wzajemnych zależności, płacąc za to jak najmniejszą cenę.
O uczestnictwie możemy zaś mówić w przypadku zwykłych ludzi, którzy byli świadkami egzekucji, byli wykorzystywani jako woźnice lub grzebali zwłoki. W ścisłym znaczeniu kolaboracja obejmuje współsprawstwo i współpracę, podczas gdy uczestnictwo znajduje się w moralnej szarej strefie, rozciągającej się między byciem świadkiem a byciem (nawet bez wyrażania na to zgody) uczestnikiem zbrodni.
Dodatkowo, według niektórych autorów, w zjawisku kolaboracji powinniśmy wyróżnić postawę „kolaboracjonizmu" - rozumianą jako „rozmyślną służbę na rzecz wroga" i „strukturalną kolaborację", wynikającą z umiejscowienia jednostki w sieci zależności i interesów, często opartą na obojętności wobec ofiar hitlerowców oraz na korzyściach wynikających dla niej z eliminacji pewnych grup (6). Pojęcie strukturalnej kolaboracji może też opisywać sytuacje, w których jednostki czy grupy nie były współsprawcami prześladowań prowadzonych przez hitlerowców, lecz prześladowały te same ofiary w sposób niezależny, zachowując jednocześnie wrogą postawę wobec Niemców.
Ilustracją tego zjawiska mogą być wydarzenia z maja 1944 roku w lasach nieopodal wsi Wielgomłyny w powiecie radomszczańskim, gdzie członkowie oddziału AK zabili 27 Romów. Miejscowi chłopi poinformowali partyzantów, że uzbrojeni (co okazało się później nieprawdą) Romowie atakują ich, domagając się żywności. Partyzanci zdecydowali się rozbroić Romów i usunąć ich z okolicy, aby chronić swe własne źródła żywności, a także by konflikty Romów z chłopami nie przyciągnęły uwagi Niemców. Z niewyjaśnionych powodów próba ich „przemieszczenia" zamieniła się w masakrę (7).
Inne zdarzenie, ukazujące przenikanie się rozmaitych wariantów kolaboracji, miało miejsce w lecie 1942 roku, kiedy to grupa Romów (9 dorosłych i 12 dzieci) została schwytana w okolicach Borzęcina k. Tarnowa. Pierwotnie mieli zostać rozstrzelani na miejscu zatrzymania, lecz okoliczni mieszkańcy przekonali żandarmów, by nie zabijali Romów w pobliżu ich domostw. Zostali więc przetransportowani do pobliskiego lasu i tam zastrzeleni przez niemieckich żandarmów i polskich policjantów. Ciała ofiar pogrzebali na miejscu egzekucji mieszkańcy pobliskiego przysiółka, podczas gdy zabójcy, do których dołączył miejscowy sołtys, udali się świętować zakończenie akcji do miejscowej gospody.
Opisane wydarzenia prowadzące do egzekucji schwytanych Romów stanowią złożony kompleks współsprawstwa, współpracy i uczestnictwa. Anonimowy informator doniósł sołtysowi o obecności Romów na skraju wsi, sołtys z kolei poinformował o tym miejscową jednostkę żandarmerii. Następnie żandarmi i policjanci wykonali egzekucję i rozkazali miejscowej ludności pogrzebać ciała. Chłopi byli zasadniczo obojętni wobec losu Romów; zainteresowani byli głównie tym, aby nie zabijano Romów pod oknami ich chałup. Jednakże niektórzy świadkowie egzekucji byli wstrząśnięci faktem bliskich związków między niemieckimi żandarmami, polskimi policjantami i miejscowym sołtysem, a zwłaszcza wspólną pijacką imprezą po egzekucji.
Ofiary zbrodni w Borzęcinie należały prawdopodobnie do grupy Polska Roma, która nie miała zbyt częstych kontaktów z okolicznymi mieszkańcami. Podobna relacja istniała między mieszkańcami Żabna a grupą ok. 50 Romów zamordowanych tam w lecie 1943 roku. Byli to niemieccy Sinti, deportowani do Generalnego Gubernatorstwa w 1940 roku w rezultacie dekretu Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy z października 1939 roku. Egzekucji w Żabnie dokonali niemieccy żandarmi i polscy policjanci, nadzorowani przez funkcjonariusza Gestapo z Tarnowa. Na polecenie żandarmów miejscy urzędnicy musieli towarzyszyć policjantom doprowadzającym na miejsce egzekucji Romów rozlokowanych w różnych częściach miasta.
Mieszkańcy wsi Szczurowa mieli całkiem inne relacje z Romami, którzy od niepa-

miętnych czasów żyli w osadzie na skraju wsi. Byli to członkowie grupy Romów Karpackich, dobrze zintegrowani z tamtejszą społecznością; zdarzały się np. mieszane małżeństwa, co gdzie indziej było rzadkością. 3 lipca 1943 roku jednostka składająca się z 40 niemieckich żandarmów i 20 polskich policjantów wkroczyła do osady i zaczęła siłą wyrzucać Romów z ich chałup. Ci, którzy stawiali opór, zostali zastrzeleni na miejscu; reszta czekała pod strażą na przybycie furmanek, które mieli dostarczyć miejscowi chłopi. Zobowiązany do tego sołtys miał trudności ze zgromadzeniem odpowiedniej liczby furmanek, ponieważ ludzie nie chcieli uczestniczyć w przygotowaniach do egzekucji Romów. W końcu jednak Romowie zostali przewiezieni na cmentarz. Po drodze konwój był zatrzymywany przez mieszkańców, którzy błagali żandarmów i policjantów, aby wypuścili przynajmniej tych Romów, którzy pozostawali w związkach małżeńskich z nieromskimi mieszkańcami wioski. Przy tej okazji udało się wyciągnąć z konwoju kilkoro dzieci. Pozostałe 93 osoby zostały zastrzelone na cmentarzu i pochowane w zbiorowym grobie wykopanym przez członków miejscowej straży pożarnej. Według niektórych wspomnień zaoferowano im rzeczy osobiste należące do zamordowanych, ale nikt nie skorzystał z tej propozycji.

Z całej romskiej społeczności Szczurowej, która liczyła ok. 130 osób, ocaleli jedynie ci, których w czasie egzekucji nie było w wiosce oraz troje dzieci i sześć osób będących w związkach małżeńskich z nie-Romami. Ci ostatni nie zostali zabici dzięki wstawiennictwu miejscowego sołtysa i właściciela gospody, który obiecał mordercom wystawny poczęstunek po zakończeniu egzekucji. W negocjacjach wspierała ich część polskich policjantów, mających podobno kontakty z ruchem oporu.

Przedstawione tu przykłady wskazują, że kolaboracja jest zjawiskiem niezwykle złożonym, na które składają się rozmaite zachowania: od przymusowego uczestnictwa, polegającego na przykład na grzebaniu zwłok zamordowanych Romów lub przewożenia ich furmankami na miejsce egzekucji, poprzez informowanie Niemców o obecności „obcych" w wiosce (współpraca), aż po uczestnictwo w grupach egzekucyjnych przez członków granatowej policji (współsprawstwo). Zbrodnia w Wielgomłynach, popełniona przez oddział partyzancki, może być natomiast zakwalifikowana jako przypadek strukturalnej kolaboracji, wynikającej z krzyżujących się interesów różnych grup, która doprowadziła do niezależnego od polityki hitlerowskiej aktu przemocy wobec Romów.

Forma i intensywność kolaboracji zależały od trzech czynników. Po pierwsze – od pozycji zajmowanej przez daną osobę w sieci relacji, w których miały miejsce zachowania o charakterze kolaboracyjnym. Po drugie – od dystansu społecznego, jaki dzielił daną grupę romskich ofiar od nieromskiego otoczenia. Po trzecie – od zmieniającej się natury i intensywności hitlerowskich prześladowań Romów.

Ci, których pozycja wymuszała udział w aktach kolaboracji (policjanci, sołtysi), musieli uczestniczyć w prześladowaniu Romów, lecz jednocześnie mieli większe możliwości negocjowania z władzami niemieckimi zakresu swego uczestnictwa, a nawet – częściowo – losu ofiar. O tym, czy w ogóle chcieli takie negocjacje podjąć, decydował natomiast charakter ofiar i rodzaj ich kontaktów z nieromskim otoczeniem.

W Borzęcinie i Żabnie, gdzie romskich ofiar nic nie łączyło z miejscową ludnością, mieszkańcy byli względnie obojętni wobec losu Romów, a ich negocjacje z władzami ograniczały się – jak w Borzęcinie – do prośby o niedokonywanie egzekucji w pobliżu wsi. W Szczurowej, gdzie romskie ofiary były ściśle związane z mieszkańcami, świadkowie egzekucji podjęli działania zakończone sukcesem w postaci uratowania kilku romskich dzieci. Z kolei współpraca i współsprawstwo sołtysa i granatowej policji zostawiały miejsce na negocjacje z niemieckimi żandarmami, zakończone uratowaniem Romów pozostających w małżeństwach mieszanych.

Rozmaite formy kolaboracji, które przyczyniły się do śmierci wielu Romów, zostały wyciszone przez narracje głównego nurtu życia społecznego, aby podtrzymać pozytywny obraz Polaków i wymazać wojenne wspomnienia, które mogłyby go podważyć. Stąd też utrzymujące się w społeczeństwie przekonanie, potwierdzone przez wiele badań socjologicznych, że wszyscy stawiali bohaterski opór, kolaborowały zaś nieliczne, zdemoralizowane jednostki z marginesu społecznego.

Jeśli dystans między Romami a większością społeczną był w danym miejscu niewielki i jeśli sieć zależności kolaboracyjnych, w które uwikłani byli przedstawiciele większości, pozwalała im na negocjacje z hitlerowcami i występowanie w obronie Romów, wówczas pamięć o tym, co się stało, jest kultywowana, czego przykładem może być Szczurowa, gdzie już w 1965 roku, z inicjatywy mieszkańców wsi, umieszczono na romskiej mogile pamiątkowy kamień.

Ale i w innych miejscach, tam, gdzie romskich ofiar nie łączyły bliskie więzi z miejscową ludnością, pamięć zbrodni nie została całkowicie wymazana. Ciała Romów zamordowanych w lesie nieopodal Borzęcina zostały w 1959 roku ekshumowane i ponownie pochowane na miejscowym cmentarzu. W ten sposób Romowie, których los – na prośbę mieszkańców – dokonał się poza wsią, symbolicznie do niej wrócili. Masowym grobem niemieckich Sinti w Żabnie opiekują się uczniowie miejscowej szkoły, którzy z tej okazji uczą się o wojennym losie Romów.

W latach dziewięćdziesiątych Muzeum Okręgowe w Tarnowie rozpoczęło projekt mający na celu upamiętnienie zagłady Romów. Obejmuje on wznoszenie pomników i umieszczanie tablic pamiątkowych w miejscach, w których Romowie ginęli, a także angażowanie władz i ludności lokalnej w doroczne przedsięwzięcie upamiętniające - Romski Tabor Pamięci, podczas którego miejscowi Romowie, jak również nieromscy goście odwiedzają miejsca związane z romską zagładą.

Takie inicjatywy tworzą ramę pamięci, która pozwala na upublicznienie tematu romskiego losu w czasie II wojny światowej i uczynienie go elementem lokalnej pamięci zbiorowej. Jednakże zagadnienie kolaboracji nie jest przy tym poruszane. W przeciwieństwie do toczącej się od dawna debaty na temat stosunków polsko-żydowskich w czasie Holokaustu debata na temat stosunku społeczeństwa do zagłady Romów ciągle czeka na swój czas. Jej warunkiem jest rewizja utartego poglądu, zgodnie z którym kolaboracja jest zjawiskiem wyjątkowym i utożsamianym z kolaboracjonizmem – z wyraźnie formułowaną intencją pomocy w prześladowaniu jakiejś grupy ludzi. Zaproponowane w tym szkicu pojęcie kolaboracji pozwala zrozumieć, że jest to zjawisko szersze, wielopoziomowe i wewnętrznie zróżnicowane. W działaniach o charakterze kolaboracyjnym uczestniczyło wielu ludzi, którzy wcale nie musieli mieć morderczych intencji wobec Romów. Niemniej jednak bez ich działań realizacja hitlerowskiego planu zagłady Romów w okupowanej Polsce napotkałaby na spore trudności. Musimy mieć to na uwadze, by uniknąć pokusy łatwego uporania się z tym problemem.

Sławomir Kapralski

1. B. Davis Lutz, J. M. Lutz, Gypsies as Victims of the Holocaust. "Holocaust and Genocide Studies" 1995, Vol. 9, No. 3
2.J. Connelly, Poles and Jews in the Second World War: The Revisions of Jan T. Gross. "Contemporary European History" 2002, Vol. 11., No. 4
3. J. Grabowski, *Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942-1945. Studium dziejów pewnego powiatu*. Warszawa: Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, 2011.
4. J. W. Jones, «Every Family Has Its Freak»: Perceptions of Collaboration in Occupied Soviet Russia, 1943-1948. "Slavic Review" 2005, Vol. 64, No. 4.
5.M. Dean, Where Did All the Collaborators Go? "Slavic Review" 2005, Vol. 64, No. 4
6. J. Connelly, Why the Poles Collaborated so Little – And Why That is No Reason for Nationalist Hubris. "Slavic Review" 2005, Vol. 64, No. 4.
7. IPN BU 507/239, Wyrok w imieniu Rzeczpospolitej Polskiej z dnia 31 marca 1952 r. wydany przez Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy w Wydziale IV Karnym. Uzasadnienie, k. 18-19. Autor wyraża serdeczne podziękowania Leszkowi Goryckiemu za informację o tym wydarzeniu.

Tego żaden koń nie udźwignie

Gorzów Wielkopolski, 8 maja 2013 roku, mieszkanie na jednym z „kwadratów”. Mnóstwo tu dziś ludzi: to córki, wnuki i inni krewni Alfredy Markowskiej, zwanej Noncią. Alfreda Markowska siedzi na honorowym miejscu, wchodzący do pokoju mężczyźni całują ją w rękę. Za dwa dni kobieta skończy dziewięćdziesiąt lat

Magdalena Kicińska
Justyna Pobiedzińska

Dzieci na umór

Alfreda Markowska: - Byłyśmy we dwie z kuzynką Maryśką we wsi. Przyszłyśmy na polanę, gdzie nasz tabor stał. Patrzymy, wszyscy powybijani. Wszystkich straciłam, sama zostałam. Rodzeństwo, braci: Lola, Józia, Frania, Lutka, Romcia, Januszka. Wszystkich. Jeszcze padły strzały. Schowałyśmy się między porąbanymi kawałkami drewna, między choinami. Nie trafili. Jakoś Bóg nas ochronił. Poleżałyśmy, poleżałyśmy, już nie było nikogo. Pustki. Później zaczęli się schodzić inni, co też się w tym lesie chowali. I tak żeśmy siedzieli. Potem się już nie bałam całą wojnę. Co się bać? Nie miałam nic do stracenia, bo już wszystkich straciłam. Na każdym kroku się czuło, że to może być koniec, zaraz, już.

Karol Parno Gierliński: - Noncia postanowiła odbudować swoją rodzinę. Docierała wszędzie, gdzie mogła dotrzeć, na miejsca masowych mordów dokonywanych przez Niemców. Szukała pozostawionych, ocalałych dzieci. Szukała wszędzie: po lasach, w spalonych chatach... i znajdowała. Czasami udawało się odnaleźć rodziny tych dzieci, często jednak nie. Były to dzieci nie tylko romskie. Niejednokrotnie na swoim utrzymaniu miała po kilkanaście dzieci. Jak dawała radę wszystkich nakarmić? Niechętnie na takie pytanie odpowiada. Przez Rozwadów przechodziły transporty wiozące ludzi do obozów zagłady. I z tych transportów też czasami udawało się jej uratować jakieś dziecko.

Alfreda Markowska: - Jak człowiek przypomni sobie, co przeżył, to czasem nie wierzy. Czasem myślę sobie: a może mnie się to wszystko przyśniło? Ale odważna byłam, niczego się nie bałam. Potem już te dzieci tak na umór brałam, ile się dało. Wszystko u Boga w ręku. Maryśka żyje, ale nie chciała nigdy o tym rozmawiać. Teraz na starość mówi, że już nic nie pamięta. Ale nigdy nic nie mówiła. O tym się nie chce pamiętać. Co człowiek we wojnę przeszedł, tego żaden koń nie udźwignie. Dużo już nie pamiętam, wszystko się zaciemnia.

Alfreda Markowska przy pomniku Papuszy w Gorzowie Wielkopolskim, listopad 2007.
Fot. Adam Borowy/REPORTER/East News

Karol Parno Gierliński: - Od babci wiedziałem, że Noncia mi uratowała życie, i od ciotki. Jak miałem gdzieś dziewięć lat, oni przyjechali do Poznania. Zobaczyłem Noncię pierwszy raz po wojnie. Zabrali mnie z taborem i lato z nimi byłem na dożywieniu. Noncia nas wszystkich traktowała jednakowo: tak samo się dostawało ścierą w łeb, jednakowo do michy wołali. No dzisiaj to jeszcze żyje Szpilko. Kto jeszcze? Prezes Związku Romów Polskich, Roman Chojnacki – to jest syn ludzi uratowanych przez Noncię. Rodziców prezesa Chojnackiego wychowała Noncia. A te chłopaki żydowskie, których Noncia też wyratowała, jakiś czas mieszkali w Legnicy. Mieliśmy kontakt, ale potem wyjechali do Izraela w 1968. Ale wtedy to nikt nie przywiązywał wagi do tego, co Noncia zrobiła. Że to może mieć jakieś znaczenie szersze, społeczne. Ludzie pozapominali, albo chcieli pozapominać. Bo tak łatwiej było.

Dzieci

Karol Parno Gierliński: - Według moich wyliczeń Noncia wyratowała około pięćdziesięciu osób. Część tam była dzieci żydowskich, po które nikt się nie zgłosił, więc one zostały wychowane jako cygańskie. I Noncia nie wiedziała, pytała – ujawniać im, że oni są Żydami, mówić o tym na zewnątrz, czy lepiej nie mówić? Biła się z myślami, zastanawiała, jak tu ich przedstawić? Bo u nas jednak ten szowinizm jest i antysemityzm, tyle go, co u Polaków, a jeszcze wtedy, po wojnie tuż… Przypisać komuś na stałe odium obcości – tego Noncia nie chciała.

Córka Malina: - Przy mamie nikt na żadne dziecko głosu nie może podnieść.

Alfreda Markowska: - Jak widzę dziecko, to mi wszystko znów na głowę przychodzi. Wraca. A jak już jakieś dziecko płacze i nie ma przy nim nikogo! Boże mój! Dzieci śnią mi się często. Chcę je obuć, odziać, a one mi się wymykają z rąk, nie mogę ich dogonić… Dobrze, że mam tak dużo wnuków. Nawet nie wiem, ilu ich dokładnie.

Córka Malina: - W najbliższej rodzinie w najprostszej linii to będzie ponad sto trzydzieści osób.

Alfreda Markowska: - To jak kilka taborów. Odbudowałam rodzinę.

Ciągle nami rządzi

Wchodzi kolejny wnuk, wita się z babcią, całuje ją na powitanie w rękę, przedstawia się:

- Antonio.

I zaraz żartuje:

- I co, babciunio? Znowu bajeczki opowiadasz?

Alfreda Markowska ze śmiechem wygraża mu laską, ale zaraz poważnieje: - Teraz już wszyscy poumierali. Tylko ja zostałam. Nie mogę na stare lata już chodzić. Ale życie miałam dobre. Jak już byłam mężatką, dobrze mi było. Dzieci miałam sześcioro. Ale już ich dzieci, i dzieci ich dzieci i ich dzieci jeszcze – nie zliczę, już nie wiem, ile ich jest. Czasem już nie pamiętam nawet, jak się moja córka która nazywa. Mówię wtedy: ej, ty!

Córka Malina (w dowodzie ma Ewa): - Dziękować Bogu mama jest przy pamięci. Mieszkamy z mamą na zmianę z siostrami. Jak z którąś z nas mama dłużej pomieszka, już pamięta, jak się nazywamy. Potrzebuje trochę więcej czasu.

Córka Jabłuszko (w dokumentach USC – Krystyna): - Powiedz, mamo, jak wódkę piłaś w taborze, jak tańczyłaś! Jak po lesie hulałaś, jak się w jeziorze kąpałaś! Jak na koniu jeździłaś!

Córka Malina: - Dziesięciu chłopów przepijała! Mama była bardzo towarzyska! Hersztem była, jadła, piła i wszystkimi rządziła!

Alfreda Markowska się śmieje: - Jak człowiek takiej biedy zaznał i z tamtego świata wstał, to musi… Ale co? Żyją moje córki w lesie urodzone? Żyją!

Córka Malina: - Ojciec nie żyje, brat nie żyje, ale mama jest wciąż przy nas. Na szczęście. To dla nas wszystkich bardzo ważne. Mama ma silny charakter, i choć ma dziewięćdziesiąt lat, ciągle nami rządzi.

Nigdy nie pytała, czyje to

Wnuk Dawid: - Babcia wychowała i wykarmiła braci swojego męża, szóstkę swoich dzieci i wiele innych. Nigdy nie pytała, czyje to – tylko karmiła. Do babci przychodzą różne pokolenia. Najmłodsi siedzą na podłodze i słuchają babci z otwartymi buziami. Mówią, że nie wierzą w to, co słyszą. Jak babcia była w lepszej formie, opowiadała nam wszystko. Dużo pamiętamy z jej opowieści. Na przykład to, że nigdy nie wiedziała, jakie dziecko ratuje. Widziała tylko ręce z zawiniątkiem, nie widziała twarzy ludzi, którzy powierzali jej dzieci. Skąd ludzie wiedzieli, że akurat w Rozwadowie dzieci można zostawiać? Wiadomości szybko się rozchodziły, również między wagonami. Dawid łata dziury w pamięci babci, przez trzydzieści lat swojego życia słyszał te historie dziesiątki razy. – Babcia z tą Maryśką, z którą się uratowały, w pewnym momencie znalazły się w krzyżowym ogniu między Niemcami a Rosjanami. Zauważył je rosyjski lejtnant, piękny młody mężczyzna z kilkoma orderami na piersi. Przebiegł drogę, żeby je wyciągnąć z niebezpiecznego miejsca pośrodku strzelaniny. Dostał prosto w pierś. Babcia i Maryśka przeżyły. Kiedy byłem mały i babcia to opowiadała, płakałem za każdym razem. Do dziś mam łzy w oczach.

Córka Malina: - A jak raz Rosjanka dała ci karabin, mamusiu, żebyś Niemca zabiła?

Alfreda Markowska: - Ale nie umiałam. Szkoda mi go było.

Order

Za bohaterstwo, poświęcenie i determinację w ratowaniu dzieci Prezydent RP Lech Kaczyński odznaczył 17 października 2006 roku Alfredę Markowską – Noncię – Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Prezydent dziękował Alfredzie Markowskiej słowami:

(...) Jeżeli dziś istnieje naród żydowski, w tym wielu Żydów pochodzących z naszego kraju, a także pewna ilość Polaków żydowskiego pochodzenia, którzy dziś w Polsce mieszkają; jeżeli istnieje naród romski znaczna jego część, choć nie taka jak na Słowacji czy na Węgrzech, zamieszkuje w Polsce, to dlatego, że byli tacy ludzie jak Pani. I takim ludziom jak Pani właśnie należy się szacunek, podziw. I dla takich ludzi wymyślona została instytucja orderów, szczególnie jednego z najwyższych odznaczeń naszego kraju, jakim jest Krzyż Komandorski z Gwiazdą. Wtedy za ratowanie życia nie groziło więzienie, nie groziło zesłanie. Za to groziła śmierć, i to często śmierć męczeńska. Dziękuję bardzo.

Córka Jabłuszko: - Mama pojechała odebrać order do Warszawy, to troje jej dzieci przyjechało – tych uratowanych. Karen, ta z Berlina, i Gierliński, i jeszcze ktoś, nie wiem kto dokładnie. Gierliński, jak tu w Gorzowie mieszkał, codziennie do mamy na kawę przychodził. „Mamusiu" albo „babciu" do niej mówił. Ale te rozmowy ją wykańczają. Przypomina sobie wszystko znów od nowa, znów przeżywa, nie możemy sobie z nią potem dać rady. Lepiej niech mamie się znów nie wydaje, że jest wojna, bo wtedy chce w środku nocy uciekać.

Karol Parno Gierliński: - Jak Noncia była odznaczana przez prezydenta Kaczyńskiego, w drodze powrotnej z Warszawy do Gorzowa zatrzymaliśmy się w restauracji. Idziemy – Noncia w środku, z jednej strony wnuk Nonci, z drugiej ja. Po drodze kotek miauczy, a Noncia powiada: „Zgiń, przepadnij siło nieczysta! Parno, ani ty ani ja nie spoglądamy w stronę tego kota!". Bo wiadomo, że kot jakby nie przylazł do niej, to przylazłby do mnie. Kiedyś Gucia z Noncią pobudowali dom w Przeźmierowie - to jest dziś dzielnica Poznania, wtedy pod Poznaniem. I Noncia przyniosła sobie najpierw dwa kotki. O takie biedne, chude, bezdomne. Te kotki tak się jej rozrosły, że miała około czterdziestu sztuk. Któregoś dnia Gucia się wkurzył i załadował część kotów w bagażnik auta i wywiózł za Poznań do lasu z drugiej strony lotniska Ławica. Wypuścił je i zadowolony wrócił do domu. Koty już były z powrotem. Noncia stwierdziła krótko: są mądrzejsze od ciebie, a ty jak głupi byłeś, tak zostaniesz. No ale te koty zaczynały być dokuczliwe. I Noncia tak kombinowała, że wróżyła kobietom za kotka. Finał każdej wróżby brzmiał: jak będziesz miała kota w domu, to te wszystkie nieszczęścia od ciebie odejdą. „No ale skąd ja wezmę…?". „Ja ci dam".

Phuri daj

W pierwszym romskim elementarzu, którego współautorem jest Karol Parno Gierliński, zdjęcie Alfredy Markowskiej jest podpisane słowami: phuri daj. Tak mówi się z największym szacunkiem o matce. Znane jest umiłowanie Alfredy Markowskiej do tradycji, jej poszanowanie romanipen.

Karol Parno Gierliński: - To była młoda kobieta, ładna, energiczna. Pamiętam, to było wtedy, jak jeszcze Felek był Szero Romem. Znowu powtórzyła się historia, że Cyganka Cygance pocięła brzytwą twarz, bo ta z jej mężem coś niecoś i owszem... Przy Felku siedziałem niedaleko, bo czytałem mu książkę, kiedy się przywlekli z tą całą awanturą. Odbył się sąd. Noncia była z dzieckiem na ręku – nie wiem, czy Maliną małą, czy z Jabłuszkiem, nie pamiętam. Stała z boku i milczała, jak to u nas na wszystkich sądach. U nas jest duży szacunek dla pań – nie chcemy, żeby męczyły swoje uszy brudami, dlatego zawsze z dala stoją. No i trwa dyskusja, ojciec tej pociętej brzytwą strasznie krzyczy. A Noncia z tym dzieckiem tak spokojnie stoi, stoi i słucha. W pewnym momencie cisza zapadła, jak to w takich razach: jazgot, jazgot, potem nagła chwila przerwy.

I w tej ciszy Noncia powiada: „Szanowni wujkowie" i wymienia wszystkich tytuły ze spokojem.

Bo ona zawsze mówiła bardzo wyraźnie i powoli.

Powiada: „Czy ja bym za to miała być skalana, czy bym nie miała być skalana, jakby jakaś cholera z moim se, to też bym jej mordę pocięła".

To rozładowało sytuację. Felek stwierdził: „A idźcie wszyscy do diabła".

Noncia była dla nas wyrocznią. Ale jak wtedy mieliśmy problemy, to… nie, nie wypada mnie jako Cyganowi tego powiedzieć. Ale powiem: Noncia była ważniejsza jak Szero Rom czy Hofmano. Szło się do Nonci i pytało się: ciotko, co wy byście na to powiedzieli? Przeważnie powiedziała tak, jak powinno być. Była bardzo mądra.

No bo załóżmy, problemem było to, że ktoś poszedł się kąpać, a w rzece dziewczyny tam się kąpały gdzieś wcześniej. Czy on przez to został skalany, czy nie został? Noncia mówiła: jak nie wiedział, to nie został. Bo według tradycji nie wolno się było Cyganowi kąpać w miejscu, gdzie wcześniej kąpały się kobiety. Odwrotnie powinno być. Ale to hydrologię by trzeba było znać na pamięć! Nurt się odwraca czasami. A wtedy co? Albo w jeziorze kąpały się godzinę temu – czy wolno się kąpać teraz?

No nie wolno.

Te wszystkie nasze zakazy czasami były trudne. Człowiek rano się budził przeważnie głodny, więc leciał, łapał coś do zjedzenia. My ciągle byliśmy głodni przez to leśne świeże powietrze, dużo ruchu i konie przede wszystkim. I był problem, czy koniecznie trzeba ręce myć, zanim się podejdzie do jedzenia? No a po cholerę? Żony nie mam, sam śpię, no to po co?

Trzeba.

Noncia jest bardzo ortodoksyjna, jeśli chodzi o prawa obyczajowe, ale w mądry sposób. Nie wygłupia się o jakieś drobiazgi. Załóżmy: kiedyś było, że spódnicę podał żonie i już został skalany, prawda? Noncia, że nie został. Kiedyś to było. Choć ja do dzisiaj bym kobiecego papcia nie wziął do ręki. Niby nic takiego, ale nie pasuje.

Choć w Sinti, w tej grupie, z której pochodzę, trudno by było dziewczynom w pracy w długim stroju chodzić: większość z naszych dziewczyn w cyrkach pracuje. W spódnicy do ziemi byłby to ich pierwszy i ostatni występ na trapezie.

Jak do niej dzwonię, to zawsze mówię: „Ciociu". A ona do mnie nigdy przez „ty", tylko „wy", z szacunku do Sintów. Jej wnuczki to nawet za Sintów powychodziły, bardzo ich zawsze szanowała.

Dzień zwycięstwa

Rozmawiamy, a przez pokój przetaczają się kolejni krewni.

Alfreda Markowska: - Zioła zbierałam.

Wnuk Dawid: - Babcia zawsze wiedziała, co zbierać na co, co do czego przyłożyć.

Córka Jabłuszko: - Ponoć najlepszy jest z pachwiny, z kury.

Jabłuszko i Malina opowiadają też o reżyserce Agnieszce Arnold, która nakręciła film o Alfredzie Markowskiej („Phuri daj"), ale nie może go dokończyć, bo nikt nie chce jej dać na taki film pieniędzy. Że to jedyna spadkobierczyni pamięci mamy, bo spotykały się, kiedy mama jeszcze była całkiem przy pamięci i że nikt nie wie tyle, co ona. Mówią też o tym, że mama, choć bohaterka trzech narodów, żyje bardzo skromnie, a emerytura nie starcza jej na życie. Nagle rozlega się przeciągłe wycie syreny.

Malina: - Wojna, czy co?

Dawid: - Spokojnie… Dzień zwycięstwa dzisiaj, wyzwolenia. Specjalnie dla ciebie, babciu.

Magdalena Kicińska
Justyna Pobiedzińska

Magdalena Kicińska, reporterka związana z „Dużym Formatem". Publikowała m.in. w „Wysokich Obcasach", „Polityce", „Przekroju', „Elle" i kwartalniku „Dialog-Pheniben". Nominowana do nagrody im. Teresy Torańskiej. Współtworzy Stowarzyszenie Reporterów - Rekolektyw.

Justyna Pobiedzińska, absolwentka historii sztuki na Uniwersytecie Wrocławskim, reporterka, scenarzystka. Współpracuje m.in. ze „Zwierciadłem", „Gazetą Wyborczą" i serialem „M jak miłość".

Współpraca Fundacja PICTURE DOC